



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Tadeusz Gontarczyk

## Lata poniżenia i nadziei

Urodziłem się w drugiej połowie lutego 1931 roku w Kopiskach w województwie mazowieckim, w rodzinie Władysława i Genowefy z domu Puchała. Przyniosłem ze sobą swój los – nikt nie potrafił powiedzieć jaki mi będzie przypisany.

W roku mojego urodzenia luty przywitał mnie dość mroźno, wiał silny wschodni wiatr, temperatura w nocy spadała do –25 stopni. W ciągu dnia na bezchmurnym niebie świeciło słońce topiąc czystą, białą pokrywę śnieżną. Rok ten był wyjątkowy. Śnieg pokrył wszystkie krzaki i krzewy pierzyną tworząc spokojne, białe morze na dużych przestrzeniach łąk i pól, które otaczały wieś Kopiska.

W okresie przedszkolnym w zimie przebywałem w domu. Wybierałem się w mniej mroźne dni na lodowiska, które utworzone były na rozlewiskach w pobliżu domu. Nie wolno mi było zbyt się oddalać. W okresie wiosny, lata i jesieni już od piątego roku życia zapędzano mnie do ciągłej pracy. Pilnowałem krowy na łące, oddalonej od domu około jednego kilometra. W czasie wykonywania tego obowiązku często przyglądałem się mrówkom. Siedziałem obok mrowiska i obserwowałem krzątające się ruchliwe owady. Wpatrując się w nie często zasypiałem. Krowy wtedy hasały po łąkach sąsiadów. Budzili mnie różni ludzie, a czasami i Rodzice. Przerażony spędzałem krowy na swoją łąkę. Do zajęć, które wykonywałem w dzieciństwie stopniowo przyzwyczałem się – nie było to zajęcie dla mnie trudne. Najbardziej dokuczliwe było ranne wstawanie. Czasami idąc za krowami, które pędziłem na pastwisko, zasypiałem. Nie mogłem liczyć na to, że ktoś mnie zastąpi. Ale nie narzekałem, gdyż wiedziałem, że każdy z domowników ma wyznaczone zajęcie.

Obce było mi powiedzenie „zaraz”. Jestem zadowolony z takiego wychowania, nauczono mnie szacunku dla Rodziców, osób starszych i pracy. Jako dziecko byłem wrażliwy i uczuciowy. Wiele przeżyć doznanych w latach wczesnego dzieciństwa miało bardzo duży wpływ na moje dalsze życie.

\* \* \*

Zostałem wraz z Dziadkiem zaproszony do ojca chrzestnego, który mieszkał w Grodzisku Mazowieckim razem ze swoją liczną rodziną. Był to rok 1938. Wybraliśmy się w piękny, słoneczny, czerwcowy poranek. Dzień zapowiadał się bezchmurny i pogodny. Do stacji kolejowej w Jaktorowie, oddalonej około 5 kilometrów od naszego domu, Ojciec odwiózł nas wozem. Z domu do stacji było nieco bliżej wzdłuż stawów rybnych zlokalizowanych na terenach „mecenasa” – tak powszechnie nazywano rozległe dobra mecenasa Szyszkowskiego. Wokół stawów był pas łąki o szerokości kilkudziesięciu metrów. Na tym terenie trawa była koszona i siano było zestawiane w kopy. W wielu

miejscach posiadłości wisiały tablice zakazujące wchodzenia i przebywania na prywatnym terenie mecenasa. Jednak mieszkańcy wiosek nie przestrzegali tego zakazu. Terenu i stawów pilnował stróż posiadający dwa bardzo groźne, duże psy, które atakowały wszystkich znajdujących się na terenie posiadłości.

Z Jaktorowa do Grodziska Mazowieckiego dojechaliśmy pociągiem. Była to moja pierwsza podróż koleją, pełna rozkoszy i zachwytu. Duża szybkość pociągu sprawiała mi ogromną przyjemność. Rodzina chrzestnego przyjęła nas serdecznie i ugościła życzliwie. Dziadek przed wyjazdem obiecał rodzicom, że wróci do domu wieczorem. Obiad zakrapiany alkoholem przeciągnął się do wieczora. Było już późno, kuzyni namawiali Dziadka, aby zanocował i wrócił do domu następnego dnia. Ale on był uparty, zawsze starał się dotrzymać danego słowa. Powiedział, że wróci wieczorem i nie było siły, aby zmienić decyzję. Jednak pod wpływem alkoholu nie potrafił ocenić swoich i moich możliwości fizycznych. Kuzyni odwieźli nas do Jaktorowa, a sami wrócili pociągiem do domu. Była noc. Dziadek chciał skrócić drogę do domu przez dobra mecenasa. Po wejściu na teren zakazany w oddali usłyszeliśmy szczekanie zbliżających się psów. Dziadek szybko zorientował się w sytuacji, szarpnął mnie za rękę i krzyknął „uciekajmy!”. Dobiegliśmy do stojącej w pobliżu kopy siana. Mnie wrzucił na kopę i sam w ostatniej chwili też się wgramolił. Byliśmy uratowani. Pamiętam, że bardzo płakałem ze strachu, darłem się w niebogłose przerażony. Psy rozjuszony ujadły, próbowały nas dopaść, a może po godzinie zmęczone położyły się w pobliżu kopy i czekały. Każdy nasz ruch powodował wścieklą reakcję psów. Dziadek powoli rozgrzebał w środku siano i wkopał mnie do środka. Stróż nocny prawdopodobnie leżał w swojej kajucie pijany, kilkaset metrów od miejsca zdarzenia. Całą noc spędziliśmy w kopie siana. Było mi zimno. Dziadek zdjął marynarkę i przykrył mnie. Wyczerpany i przestraszony zasnąłem. Rano przyszedł stróż i zamknął psy w budynku gospodarczym znajdującym się w pobliżu. Wygramoliliśmy się z kopy siana i spotkaliśmy stróża, który porządnie Dziadka obrugał. Mieliśmy dużo szczęścia wychodząc bez szwanku z tak groźnej przygody. Przeżycia, których doznałem tej nocy jeszcze dziś dobrze pamiętam. Przez długi czas niekiedy budziłem się w nocy i krzychałem przerażony, gdyż wydawało mi się, że atakują mnie złe psy. Zawsze bałem się dużych obcych psów, kojarząc doznane przeżycia.

\* \* \*

Do szkoły pierwszy raz poszedłem z Mamą 1 września 1938 roku. Uczyłem się we wsi Baranów, oddalonej od domu około trzech kilometrów. Dwie izb szkolne mieściły się w starym, zniszczonym budynku, w którym był też pokój nauczycielski oraz w budynku parafialnym, gdzie była jedna izba lekcyjna. Wynajmowano też trzy sale w innych gospodarskich budynkach. W pozostałej części domu mieszkali właściciele. Często prowadzili oni między sobą głośne rozmowy, które słyhać było dość wyraźnie w naszej klasie. Klócili się też między sobą, wtedy używali różnych ordynarnych słów, których tu nie mogę zacytować. Prawdopodobnie nie wiedzieli, że prawie każde wypowiedziane przez nich słowo było słyhać w naszej izbie.

Lekcje w pierwszej klasie rozpoczynałem o godzinie ósmej. Odległość z domu do szkoły przebywałem w ciągu jednej godziny, podobnie trwał powrót. Wracalem głodny i zmęczony. Nikt wtedy nie myślał o dożywianiu dzieci w szkole. Nikomu też nie przychodziło do głowy, aby dowozić je do szkoły. Za moich czasów uczniowskich nie było w szkole pielęgniarki, ani też lekarza. Leczone się środkami domowymi. Niektóre choroby, jak gruźlica były wyrokiem śmierci – niezależnie od wieku chorego człowieka.. Odbywała się naturalna selekcja. Słabi i chorzy ginęli, zdrowi i silni dorastali wieku dojrzałego.

Pomimo niesprzyjających warunków śmiertelność wśród dzieci była mała. Najbardziej uciążliwe było uczęszczanie do szkoły w okresie wczesnej wiosny i jesieni. Wtedy droga była błotnista, pełna kałuż. Często nogi były mokre, gdyż buty przemiękały i przepuszczały wodę. Życie w szkole było smutne i monotonne. Nauczyciele nie troszczyli się, aby dzieci uczyć poprzez poznawanie praktyczne, wycieczki, zabawy, pogadanki lub inne dostępne w tym czasie środki upowszechniające wykształcenie. Wszelkie przewinienia uczniów były karane fizycznie. Berłem prawie każdego nauczyciela była linijka, używana przede wszystkim do wymierzania kar – tak zwanych „łap”. Za otrzymane łapy nie można było się obrażać, ani gniewać, można było natomiast płakać.

W czasie wakacji w 1939 roku w domu bardzo często rozmawiano o zwycięskiej wojnie z Niemcami. Nikomu nie przychodziło do głowy, aby mogło być inaczej. O sile i wyposażeniu armii niemieckiej i przygotowaniu do wojny z Polską ludzie na wsi nie mieli pojęcia. Propaganda wytworzyła atmosferę rychłego zwycięstwa nad wrogiem. Liczono też na szybką pomoc państw przymierzonych – Anglii i Francji. Jak się później okazało były to zapewnienia na papierze, nie dające żadnego efektu praktycznego. Ostatnie dni sierpnia ostudziły zwycięskie nastroje Polaków, gdyż zawarcie przez Niemcy i Związek Radziecki paktu o nieagresji stworzyło niekorzystną sytuację wojny na dwa fronty.

Jednak Polacy wierzyli, że wszystko się dobrze ułoży dzięki pomocy Pana Boga. Głoszone hasła o nie oddaniu nawet guzika od munduru upewniały ludzi o potęgze armii polskiej. Wszyscy byliśmy przekonani, że wojna potrwa kilka dni. W drugiej połowie sierpnia Ojciec został wezwany przed komisję poborową i następnego dnia musiał się stawić na zgrupowanie w Żyrardowie, gdzie otrzymał mundur, karabin, prowiant na kilka dni i wraz z innymi żołnierzami odjechał pociągiem do Chełma. Tam miał pełnić służbę w kompanii wartowniczej, osłaniać obiekty przed dobrze zorganizowaną dywersją niemiecką. Zostaliśmy sami. Mama z trójką małych dzieci. Najstarszy Roman. Najmłodsza siostra Leokadia miała wtedy trzy lata. Pracę, którą wykonywał Ojciec prawie całkowicie musieliśmy przejąć z bratem. Trzeba było codziennie nakarmić zwierzęta: krowy, konia i domowe ptactwo. Codziennie wstawaliśmy o godzinie piątej i cały dzień zajmowaliśmy się gospodarstwem. Trzeba też było dokończyć niektóre prace w polu, nie wykonane przez Ojca, który prawie z dnia na dzień został powołany do wojska. Pozostały na polu do wykopania kartofle, buraki i inne warzywa. Trzeba też było zorać i przygotować ziemię do nowego zasiewu. Była to bardzo ciężka praca dla małych dzieci. Taki był los dziecka wiejskiego – źle odżywianego i nędznie ubranego.

\* \* \*

W dniu 1 września 1939 roku miałem rozpocząć naukę w drugiej klasie. Mama wyprawiła mnie do szkoły. Lekcje miałem rozpocząć o godzinie 8.00. W połowie drogi pomiędzy domem a szkołą zobaczyłem na niebie wysoko w promieniach słońca ciemne punkciki, słychać też było warkot samolotów. Leciwały w kierunku Warszawy w zwartym szyku. Było ich kilkanaście. Obok dużych, wyjących bombowców, poruszały się małe – stanowiące ochronę klucza. Leciwały spokojnie nie atakowane przez nikogo w górze, ani nikt nie strzelał do nich z ziemi. Po kilkunastu minutach słychać było wybuchy bomb i widać wznoszące się chmury dymu. Spadły pierwsze bomby na Grodzisk Mazowiecki, a wcześniej na Warszawę.

Do szkoły dotarłem szczęśliwie. Była już tam grupka dzieci z różnych klas. Nauczyciele kazali nam wracać do domów. Udzielili też wskazówek, jak mamy się zachować w przypadku zobaczenia samolotów. Zakazali zbierania różnych przedmiotów, które mogły zostać rozrzucone przez samoloty lub ludzi.

Tego samego dnia w godzinach popołudniowych w pobliżu naszego domu widziałem, jak cztery myśliwce niemieckie prowadziły przed sobą polski, który zachowywał się jak ryba w sieci. Każda zmiana jego kierunku była korygowana serią pocisków pochodzących z maszyn niemieckich. Była to dla mnie i naszej rodziny tragiczna chwila rozpaczy i trwogi. Wszyscy łaknęliśmy wiadomości dla nas radosnych, lecz uzyskiwaliśmy najgorsze. Najbliższe miasta – Grodzisk Mazowiecki i Żyrardów – w tym dniu były kilka razy bombardowane przez lotnictwo niemieckie. Zginęło wiele osób, wiele też było rannych. Wciąż żyliśmy nadzieją, że to tylko chwilowe załamanie, nie mogliśmy się pogodzić z brutalną rzeczywistością. Ogromny smutek ogarniał mnie, gdy patrzyłem na Mamę, która wciąż chodziła zapłakana i zatroskana o los Ojca. Liczyliśmy na pomoc Anglii i Francji, lecz nadaremnie, zostaliśmy zdradzeni i osamotnieni.

Każdy dzień przynosił coraz gorsze wiadomości o klęsce armii polskiej. Ludzie cywilni i wojsko uciekali w rozsypce i bałaganie. Chłopskie wozy załadowane rupieciami i tobołami, w których znajdował się dorobek całego życia, ciągnęły w stronę Warszawy. Wiele osób uciekało też pieszo. Znużeni, głodni, zmarnowani, ledwie żywi, nieśli na plecach swoje mienie. Bardzo przykre wrażenie robiło uciekające bez ładu przed wrogiem polskie wojsko. Byli to ludzie sponiewierani przez los. Żyli złudną nadzieją zwycięstwa nad armią niemiecką. Jednak szybko przekonali się o beznadziejności złego losu.

Każdy dzień przynosił smutne wiadomości. Do tragicznych należało wkroczenie w dniu 17 września 1939 roku armii radzieckiej na nasze tereny. Zagarnęli prawie połowę Polski, wypełniając podpisane wcześniej układy z Niemcami. Na obszarach zajętych przez wojska radzieckie Ojciec pełnił służbę i tam został rozbrojony i osadzony w obozie. Cudem udało mu się zbiec wraz z grupą innych żołnierzy polskich po przekupieniu strażników. Z Chełma do domu przemieszczał się nocami. Omijał miasta i większe wsie, w których mógłby spotkać Rosjan. Spał najczęściej pod kopami siana. Karmił się różnymi warzywami i owocami, które rosły na polach, a nie zostały jeszcze uprzątnięte. Był to okres późnej jesieni. W nocy wchodził do stojących samotnie chałup i tam często otrzymywał pożywienie i radę, jak bezpiecznie wracać do domu. Miał bardzo dużo szczęścia, nie trafił ponownie na żołnierzy radzieckich i niemieckich. Wrócił do domu w drugiej połowie października w mundurze polskim. Zapanowała ogromna radość.

\* \* \*

W czasie działań wojennych lekcje w szkole zostały zawieszane. Władze okupacyjne wydały zezwolenie na rozpoczęcie zajęć w drugiej połowie października. Niektórzy nauczyciele wyjechali ze

szkoły. Pozostali tylko Jan Wardak i jego żona oraz Tadeusz Wąsowski. W drugiej klasie, którą rozpocząłem w czasie okupacji, nauczano tylko arytmetyki z geometrią i języka polskiego. Aby umożliwić prowadzenie zajęć w innych klasach, nauczyciele organizowali lekcje z wychowania fizycznego, przekazując dzieciom piłkę do gry w dwa ognie. Zajęcia z arytmetyki z algebrą prowadzono wykorzystując program obowiązujący w poprzednim roku. Natomiast władze okupacyjne nie zezwoliły na nauczanie języka polskiego według starego programu. Nauczyciele musieli zastosować się do wydanych zarządzeń. Bali się sankcji. Na każdej lekcji polskiego nauczyciele uczyli gramatyki i poprawnego pisania. We wszystkich salach szkolnych lekcje odbywały się sześć razy w tygodniu w różnych godzinach. Ostatnie w okresie letnim kończyły się około godziny siedemnastej. Natomiast w okresie jesienno-zimowym obowiązywał inny harmonogram zajęć. W jednej dużej sali o tej samej godzinie jeden nauczyciel prowadził lekcje dla dwóch lub trzech klas z podziałem: klasa pierwsza, druga i trzecia, czwarta i piąta, szósta i siódma. Godziny rozpoczęcia i zakończenia zajęć klas w tych grupach były różne.

Innym powodem łączenia klas w okresie późnej jesieni i zimy był brak opału do ogrzewania wszystkich izb szkolnych. Izba szkolna, w której prowadzone były moje lekcje była ogrzewana tak zwaną „kozą”. Był to piecyk metalowy ustawiony na środku sali. Rury od piecyka były doprowadzone do konina. W czasie palenia szybko się nagrzewał i szybko się studził. Piecyk był opalany drewnem. Każde dziecko w naszej klasie zobowiązane było według ustalonego harmonogramu dostarczać minimum 5 kilogramów suchego drewna w okresie miesiąca. W roku szkolnym ogrzewania przynajmniej około 25 kilogramów drewna. Wszystkie dzieci wywiązywały się z tego obowiązku. Nadmiar drewna woźny gromadził w komórce. Młodsze klasy liczyły od 25 do 30 uczniów.

W latach 1941-1943 młodzież szkolna była zmuszana do prac w polu w czasie przeznaczonym na lekcje. Pracowaliśmy w dużym gospodarstwie rolnym na polach przy sadzeniu i pielęgnacji rośliny kałczukodajnej koksagis, którą Niemcy wykorzystywali do produkcji opon. Gospodarstwo rolne było zlokalizowane w miejscowości Pułapina odległej od szkoły około 2 kilometry.

Okupacja niemiecka zabrała mi dzieciństwo i pozostawiła głęboki ślad w mojej psychice. Był to dla mnie okres czasu bardzo trudny i smutny. Ukształtował on we mnie osobowość poważną i zamkniętą oraz ostrożność w wypowiedzianiu się. Nie wszystkie dzieci wiejskie uczyły się podczas okupacji niemieckiej. Niektórzy rodzice uważali, że szkoła jest im niepotrzebna. Mówili oni: „my nie mamy żadnej szkoły i żyjemy, to i wy będziecie żyć bez szkoły”. Był to bardzo prymitywny sposób myślenia. Inni rodzice bali się o swoje dzieci, we wsi straszono, że przyjadą do szkoły Niemcy i wywiozą dzieci do obozów lub do rodzin niemieckich, aby ich tam zgermanizować. Tylko odważni rodzice posyłali swoje dzieci do szkoły. Jednak przestrzegali dzieci, że muszą być czujne i w przypadku przyjazdu Niemców do szkoły muszą uciekać, nawet wyskakując z klas przez okna. Wskoczenie z klasy przez okno nie było trudne, szkoła była parterowa, parter był niski, ja to nieraz robiłem dla zabawy. Wśród młodzieży szkolnej panowała przyjaźń i życzliwość, chęć udzielania sobie pomocy, gdy zachodziła taka potrzeba.

W pierwszych latach okupacji niemieckiej do szkoły w Baranowie uczęszczała młodzież, której rodzice przyznawali się do narodowości niemieckiej. W każdej klasie była grupka młodzieży pochodzących z wiosek zamieszkałych przez kolonistów niemieckich. Młodzież polska nie okazywała wrogości w stosunku do tej grupy. Rozstaliśmy się z nimi w drugim roku wojny, zorganizowano dla nich szkołę niemiecką w Żyrardowie. Moi Rodzice uważali, że należy chodzić do szkoły, która zapewni lepszą przyszłość. Po zakończeniu wojny nastaną czasy, kiedy wiedza będzie dobrze opłacana.

Język polski był nauczany według programu zawartego w tak zwanych „Sterach”. Były to bardzo nędzne wydawnictwa, zawierające prymitywne opowiadania i bajeczki. Dla nielicznych dzieci nauczyciele organizowali tajne nauczanie historii i geografii Polski. Lekcje takie były opłacane przez rodziców produktami rolnymi w postaci: chleba, mleka, masła jajek i innych produktów. Ja uczestniczyłem w nauczaniu historii Polski. Na lekcjach nie wolno było nic notować, przekazaną wiedzę należało opanować w czasie prowadzenia dwugodzinnych zajęć. Lekcje odbywały się w mieszkaniu nauczycielki w wielkiej tajemnicy, gdyż donos do władz niemieckich zakończył by się aresztowaniem nauczycielki i rodziców, a może i dzieci. Nad bezpieczeństwem porządku niemieckiego czuwał wójt Niemiec pochodzący z rodziny zamieszkałej przed wojną w Polsce. Był on złym człowiekiem, butnym Niemcem. Polaków traktował pogardliwie i z nienawiścią. Różne informacje docierały do naszej rodziny w postaci ulotek rozpowszechnianych tajnie. Jednak i propaganda niemiecka dostarczała wiele informacji. Jedną z takich była przygnębiająca dla naszej rodziny wiadomość o mordzie katyńskim dokonanym na polskich oficerach. Niemcy wydrukowali, a ludność polska rozpowszechniała ulotki, w których były fotografie grobów i ofiar niewinnych ludzi pomordowanych przez NKWD za zgodą i aprobatą najwyższych władz radzieckich podjętą 5 marca 1940 roku. W tym czasie uważano, że to tylko propaganda niemiecka dążąca do szerzenia nienawiści pomiędzy narodami słowiańskimi.

\* \* \*

W 1940 roku do szkoły przybyli dwaj nauczyciele: Stanisław Trocki – późniejszy kierownik szkoły i Jerzy Szymborski wraz z żoną, który był naszym wychowawcą. Uważał on, że dzieci powinny się uczyć niemieckiego. Zorganizował grupę młodzieży chętnej do nauki tego języka, która liczyła około 20 osób. Wielu wpływowych mieszkańców wsi było przeciwnych uczeniu młodzieży języka niemieckiego. Byli to prymitywni ludzie, którzy uważali, że nauczyciel germanizuje młodzież. Wielu rodziców pod wpływem nacisku zrezygnowało z posyłania swych dzieci na naukę języka niemieckiego. Ja wytrwałem do końca nauki.

Nasza klasa nie cieszyła się zbyt długo swoim wychowawcą i nauczycielem. Został on aresztowany w 1941 roku na podstawie jakiegoś donosu wysłanego przez ludzi miejscowych. Idąc rano do szkoły drogą wiodącą z Baranowa do Jaktorowa widziałem przejeżdżający obok mnie samochód ciężarowy – „budę”, w której siedzieli żandarmi z karabinami gotowymi do strzału. Usadowili się na tylnych siedzeniach i zasłaniali siedzących z przodu samochodu, ale wiadomo było, że ktoś został aresztowany. Takie tragedie zdarzały się często. Nie przychodziło mi na myśl, że może to być nasz wychowawca. Po przyjeździe do szkoły dowiedziałem się o smutnym wydarzeniu. Długo nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego został aresztowany. Nikt nie chciał nam powiedzieć. W tych czasach panowała zмова milczenia. Nikt o nikim nic nie chciał mówić. Chociaż ludzie wiedzieli o swoich sąsiadach prawie wszystko. Jednak udawali, że nic nie wiedzą i nic nie widzą. Bywały przypadki, że za wypowiedziane publicznie lub też w zaufaniu słowa ludzie płacili życiem. Naszego wychowawcę Niemcy zabrali do więzienia w Żyrardowie. Najczęściej bywało tak, że następnego dnia bez procesu wywozili więźnia do lasu w Międzyborowie i tam dokonywali egzekucji. Prawdopodobnie los taki spotkał naszego nauczyciela. Jego aresztowanie należy też do tajemnicy jeszcze nie wyjaśnionej.

Na terenie gminy działały różne organizacje zbrojne: Armia Krajowa, Bataliony Chłopskie, partyzantka radziecka i inne. Grasowały też różne bandy, które grabiły mieszkańców w czasie napadów nocnych. W domu nie rozmawiano na temat organizacji politycznych w obecności dzieci. Wiedzieliśmy natomiast kogo należy unikać i nie prowadzić z nim żadnych rozmów. Ja jako mały chłopiec brałem udział w konspiracji. W tym czasie nie zdawałem sobie nawet sprawy ze swojej działalności. Byłem łącznikiem nauczyciela Tadeusza Wąsowskiego, który polecał mi przekazywać różne hasła Hieronimowi Parolowi. Wydawało mi się, że obaj panowie pełnili dość znaczące funkcje w kierownictwie organizacji, do której należeli. O wykonywaniu tych poleceń Rodzice zakazali mi rozmawiać z innymi osobami. Moje wspomnienia z tego okresu wspominam dość smutno.

\* \* \*

W maju 1941 roku przystąpiłem do i Komunii Świętej w swojej parafii w Baranowie. Przed tym wydarzeniem musiałem zdać egzamin ze znajomości katechizmu. Nie miałem żadnych trudności, uczyłem się szybko i przyswajałem wiedzę dość łatwo. Pierwsza Komunia Święta zapadła mi głęboko w pamięci i sercu. Rodzice ubrali mnie odświętnie w granatowy garniturek nowe wygodne pantofle, białą koszulę. Byłem ubrany podobnie jak wielu chłopców uczestniczących w tej uroczystości. Aby mogli dokonać tego zakupu oszczędzali przez kilka miesięcy. Otrzymałem od znajomych białą peonię, którą zaniósłem do kościoła i trzymałem ją podczas całego nabożeństwa. Wraz z Rodzicami i rodzeństwem pojechaliśmy do kościoła wozem konnym. Była to wielka uroczystość nie tylko dla mnie, lecz dla całej rodziny. W tym czasie nie urządzano żadnego przyjęcia dla osób towarzyszących, nie otrzymałem też żadnego prezentu od matki chrzestnej i od ojca chrzestnego. Przeżyłem ten sakrament bardzo uroczysto i poważnie. Był to pierwszy uroczysty dzień w moim dziecięcym życiu, który bardzo mocno utkwiał mi w pamięci. Moje święto zostało uszanowane przez wszystkich domowników. Jednak po przyjeździe z kościoła nie byłem zwolniony z codziennych obowiązków, zajęć. Rodzice wysłali mnie do pilnowania krów na łące. Pamiętam, że zabrałem z sobą książeczkę do nabożeństwa i gorąco się modliłem. Nie pamiętam o co prosiłem Pana Boga, o jakie spełnienia.

Następnego dnia poszedłem do szkoły. Zajęcia odbywały się prawie normalnie, jak w czasach okupacji niemieckiej. Każdy dzień mógł przynieść przykrą niespodziankę. Miałem wielu kolegów. Jednym z nich był Jurek Gontarczyk – zmarł na udar mózgu w trzeciej klasie. Śmierć nastąpiła bardzo szybko. Jeszcze rano grał w piłkę na boisku szkolnym, a wieczorem zmarł. Był on najzdolniejszym uczniem w klasie trzeciej. Była to ogromna tragedia dla rodziców. Jego ojciec od tego czasu leczył się w szpitalu psychiatrycznym. Nigdy nie wrócił do stanu normalności, zawsze szukał swego syna i wciąż myślał, że jest w szkole lub u kolegów. Często szukał go u nas w domu.

Drugi mój bliski kolega to Roman Domański, późniejszy szwagier, który zakończył swą edukację w szkole w Baranowie w piątej klasie. Jego rodzice bali się posyłać go na naukę, ponieważ obawiali się, że Niemcy pewnego dnia przyjadą do szkoły i wywiozą wszystkie dzieci do obozów zagłady. Podstawówkę ukończył na kursie przyspieszonym organizowanym dla młodzieży górniczej w Gliwicach w latach 1946/47.

Do szkoły chodziłem drogą, którą gospodarze dojeżdżali do swoich pól. Była to wąska, błotnista droga rozjeżdżana przez wozy konne podczas wiosny i jesieni. W tym czasie po dotarciu na miejsce buty, skarpety i nogi były całe mokre. Często wkładałem do butów papier i okręcałem nim nogi. Na niewiele się to zdało. Papier szybko przemiękał i nogi były mokre. Dopiero po lekcjach w domu mogłem zmienić buty i założyć suche skarpety.

Następne dni były podobne do poprzednich. W lecie po obu stronach wąskiej drogi najczęściej rosło żyto, w którym było pełno kąkoli i maków. Czasami korciło mnie, aby wejść i nazrywać kwiatów i zanieść je do szkoły. Starsi koledzy straszili mnie, że w żytach siedzą wściekłe psy i źli ludzie, którzy mordują małe dzieci. Niekiedy w domu też straszono mnie, że jak nie będę grzeczny to oddadzą mnie dziadowi. Dziadem nazywano człowieka, który jeździł po wsi i zbierał różne stare przedmioty, starą odzież, garnki i inne niepotrzebne w gospodarstwie przedmioty. Był on brudny i zarośnięty. Bałem się panicznie dziada, bo kojarzyłem go z czymś najgorszym.

Do wsi przychodzili też ludzie proszący o chleb. Wygląd ich był wyjątkowo nędzny – brudni, obdarci, zarośnięci. Im nędzniej wyglądali tym większą wzbudzali litość i otrzymywali hojniejsze dary od gospodarzy. Nie mieli stałego miejsca zamieszkania i często nocowali w różnych miejscach. W czasie okupacji niemieckiej w dużych i gęstych zbożach chowali się też ludzie przed łapankami. Niemcy łapali najczęściej młodych ludzi, których wywozili do ciężkich robót na terenie III Rzeszy. Idąc do szkoły wciąż rozglądałem się, czy przypadkiem coś w zbożu się nie porusza. Każdy podejrzany ruch stwarzał u mnie paniczny lęk. Przejście ponowne tą samą drogą było dla mnie dużym przeżyciem. Najczęściej przebywałem tę drogę biegnąc co sił w nogach. Było też tak, że czekałem na kolegów i wtedy wracaliśmy razem. Często też czekałem, aż ktoś będzie szedł w tym samym kierunku co i ja.

Pewnego jesienno dnia idąc do szkoły rano spotkałem przy drodze dwie zabite osoby. Wielu ludzi na pewno wiedziało o tym zdarzeniu, lecz wszyscy udawali, że nic nie wiedzą. W południe rodzina zabitych przeniosła zwłoki do domów. Byli to ludzie z naszej wioski zamieszani w jakąś działalność niezgodną z prawem. Mówiono, że wymuszali okup, który miał być złożony w pobliżu miejsca dokonanej egzekucji.

W szkole na lekcjach przeważnie się nudziłem. Dziwiłem się, że moi koledzy i koleżanki nie mogli zrozumieć prostych rachunków arytmetycznych i tak mozolnie czytają. Nauka nie sprawiała mi żadnego kłopotu. Jeszcze łatwiej wchodziły mi do głowy różne słówka i wierszyki, których nigdy w domu nie odważyłbym się zaśpiewać lub powiedzieć. W czasie rozpoczęcia nowego roku szkolnego zawsze wybierałem miejsce przy oknie. Raz wybrane było zachowane przez cały rok. Nikt nie zmieniał wybranego miejsca. Czasami nauczyciele przesadzali dzieci przeszkadzające w prowadzeniu lekcji na pierwszą ławkę. Od trzeciej klasy w szkole prowadziłem kiosk szkolny. Dwa razy w tygodniu w czasie dużej przerwy otwierałem kiosk, w którym sprzedawałem zeszyty, ołówki, gumki, kredki i inne przybory. Chętnych dzieciaków do kupowania było dużo. Rozliczenia finansowe prowadziłem z nauczycielem Tadeuszem Wąsowskim, który zaopatrywał kiosk w różne towary.

W dzieciństwie do szkoły i kościoła w lecie chodziłem boso. Przed budynkiem zakładałem buty, a przedtem myłem nogi w sadzawce, która znajdowała się w pobliżu. W niedzielę obowiązkowo trzeba było uczestniczyć we mszy świętej. Przed kościołem po mszy była sprawdzana lista obecności. Z nieobecności trzeba było się wytłumaczyć na lekcji religii w szkole. W przypadku nie znalezienia poważnego powodu, niekiedy ksiądz stosował karę cielesną. Najczęściej trzeba było klęczeć pod tablicą w czasie religii. Listę obecności prowadzili dyżurni, którzy wyznaczani byli według listy sporządzonej w dzienniku lekcyjnym. Dyżur trwał tydzień. Jeżeli listę obecności prowadzili koledzy wtedy zaliczenie obecności odbywało się bez problemów. Wszyscy uczniowie otrzymywali krzyżyk na liście potwierdzający obecność. Taka umowa istniała pomiędzy kolegami. Jeżeli listę obecności sprawdzała dziewczyna, wtedy zaliczyć można było tylko w czasie obecności.

Udział we mszy św. był nagradzany podczas odpowiedzi na lekcji religii. Uczylem się tego przedmiotu ze strachu przed księdzem. Za to do kościoła chodziłem chętnie, bo lubiłem słuchać muzyki sakralnej. Często organista zabierał mnie na chór i pompowałem powietrze do piszczałek. Nie byłem zadowolony z takiego wyróżnienia, lecz nie miałem innego wyjścia. Niekiedy czekałem przed kościołem aż organista wybierze któregoś chłopaka i dopiero wtedy wchodziłem do środka.

Na święta Rodzice starali się zgromadzić trochę mięsa i wędlin. W czasie okupacji niemieckiej zdobycie tych produktów odbywało się w wielkiej tajemnicy, gdyż pochodziły one z nielegalnego uboju. Trudności były duże, gdyż każda świnia oraz krowy i inne zwierzęta były zarejestrowane w gminie i podlegały obowiązkowej dostawie. Limit wagowy, który każdego roku musiał być odstawiony, był wyznaczany przez władze gminy. Do tradycji świąt należało także pieczenie chleba i różnych ciast. Mama gotowała też kapustę z kawałkami mięsa.

\* \* \*

W latach mojej młodości zimy na wsi były mroźne i śnieżne. Wiele było puszystego, białego śniegu, od którego oczy bolały od patrzenia. Śniegu bywało tak dużo, że trudno było przejść z domu do innych budynków gospodarczych trzeba było kopać tunele. Labirynt tuneli bardzo cieszył dzieci, gdyż podczas zabawy w chowanego stanowił dobrą kryjówkę. Były to piękne widoki, gdyż w morzu śniegu widoczne były wstążki dróg i ścieżek wydeptanych przez ludzi. Po drogach od czasu do czasu wolno sunęły sanie zaprzęgnięte konie. Do uprzęży końskich przyczepiano dzwonki, które uprzedzały przed cicho sunącymi saniami po śniegu. Każdy ruch koni podczas jazdy powodował ruch dzwonek, które wydawały różne dźwięki. Jeżeli do saní były zaprzęgnięte dwa konie, dźwięki przeradzały się w muzykę przypominając wiejską kapelę. Bardzo lubiłem słuchać tych dźwięków. Drogi na wsi nie były odśnieżane zasypany śniegu były ubijane przez sanie i wozy, ścieżki wydeptywane przez ludzi. Rowy, kanały i rzeki odprowadzające wodę były zasypane śniegiem. Miejsca te były tylko znane mieszkańcom, dla obcych stanowiły pułapki bardzo niebezpieczne. W czasie wiosny woda gromadzona z topniejącego śniegu nie miała odpływu, gromadziła się w różnych miejscach, tworząc rozlewiska lub też złobiła sobie nowe koryta.

Był to koniec marca 1942 roku. Śnieg gwałtownie się topił i potworzyły się duże rozlewiska na łąkach i polach. Nasze gospodarstwo zostało otoczone wodą. Mieszkaliśmy teraz na wyspie. Dostępu do zagrody broniły groble usypane ze śniegu, ziemi i słomy udeptanej ze śniegiem. Ojciec i Dziadek w dzień i w nocy pilnowali, aby wały śnieżno-ziemne nie zostały przerwane.

Pamiętam – była późna, zimna noc. Może była godzina druga. Usłyszeliśmy bardzo gwałtowny plusk wody w mieszkaniu. Okazało się, że przerwała wały ochronne i w ciągu kilku minut zalała cały dobytek w naszym mieszkaniu poziom wody wynosił około osiemdziesięciu centymetrów. Początkowo byliśmy zaskoczeni sytuacją, ale za chwilę Rodzice podjęli błyskawicznie decyzję, aby ulokować wszystkich na strychu. Baliśmy się co będzie dalej. Ojciec stał w głębokiej wodzie w butach i przekopywał tunel odpływowy za domem w stronę rzeki. Dziadek był w podobnej sytuacji. Mama i Babcia też uczestniczyły w naprawianiu wałów ochronnych. Do południa walka trwała z żywiołem, woda zaczęła opadać, poziom jej zaczął się obniżać. Wały były uszczelniane. Wiadrami Rodzice i Dziadkowie wylewali wodę z otoczonego gospodarstwa. Na pomoc sąsiadów nie można było liczyć, gdyż i oni znajdowali się w podobnej sytuacji. Władze gminy też nie udzieliły żadnej pomocy. Całe gospodarstwo zostało zalane wodą. Zwierzęta domowe stały w wodzie. Psy i świnie w ostatniej chwili Rodzice przenieśli na wóz. Sytuacja stawała się tragiczna, kartofle w piwnicy zalane, zboże w stodole zamoczone w łózkach woda, kuchnia zalana, mróz na dworze. Ślad po powodzi można było jeszcze zobaczyć nawet po kilku latach, na powierzchni ścian domu. Przed wieczorem po całodziennym walce z żywiołem można było rozpalić ogień w kuchni i ugotować pierwszy posiłek. Zmienić przemoczone ubrania i buty. Drzewo na opał pochodziło z rozbiórki stodoły, którą w późniejszym czasie trzeba było naprawić. Zgromadzone drewno na opał w okresie zimy nie nadawało się do palenia, ponieważ było mokre. Następną noc Rodzice i Dziadkowie pilnowali wałów ochronnych. Cenniejsze przedmioty zostały wystawione na piwnicę murowaną, która była dość wysoka około dwóch metrów. Z każdym dniem sytuacja poprawiała się, woda wyzłobiła sobie dodatkowe koryta i spływała z rozlewisk. Po dwóch tygodniach Ojciec wozem przebrnął przez rozlewiska i pojechał do sklepu po zakupy. W miarę upływu czasu słońko mocniej grzało, życie na wyspie zaczęło wracać do normalności. Rodzice wynieśli z domu meble i odzież na powietrze, które suszono na słońcu. Nie wszystko można było uratować, ziemniaki i zboże zgniło. Na podwórku Rodzice wykopali rów, który odprowadził resztki wody pozostałej w budynkach zagrody. Dziś rzeka Pisa–Tuczna płynie nowym korytem. Dawne rozlewiska, pełne ryb, kaczeńców, lilii wodnych znikły z krajobrazu bez powrotnie, a szkoda. Woda ma łatwe ujście, nie jest czysta jak dawniej za moich dziecinnych lat, ryb też nie ma. Pozostały tylko wspomnienia. Wiele działo się na wsi, daleko od miasta, kiepska droga dojazdu, błotnista, czasami nie przejezdna, a jednak.

\* \* \*

Była ciemna noc kwietniowa 1942 roku. Psy na podwórku uwiązane przy budach czekały głośno, nawet ujadły. Ktoś musiał być w pobliżu zagrody. Ojciec chciał wyjść z domu i zobaczyć co się dzieje. Mama stanowczo sprzeciwiła się temu. Dziadkowie i Rodzice delikatnie za firanek obserwowali podwórko, było ciemno, nic nie było widać. Psy szczekają nadal głośno. Niepożądani ludzie wiedzieli dobrze, że psy zbudziły gospodarzy, a jednak nie odeszli od zagrody. Nie wiadomo kto znajdował się w pobliżu, może Niemcy? Może partyzanci? Może bandyci? Całe zamieszanie trwało godzinę czasu oceniając w przybliżeniu, nikt nie liczył czasu, ani nie potrafił odczytać w ciemności z zegara. Psy przestały czekać, odetchnęliśmy z ulgą. Nikt z domowników nie spał tej nocy, zdenerwowani Rodzice i Dziadkowie doczekali rana. Ojciec codziennie przed wschodem słońca karmił krowy i konia. W chodząc do obory spostrzegł dziurę w ścianie od strony drogi i brak świni Dziadków. Złodzieje tej nocy ukradli świnie Dziadków, ważyła ona około 80 kilogramów przeznaczoną na wypełnienie obowiązkowych dostaw, wyznaczony kontyngent. Duża strata. Dziadkowie kradzieży nie zgłosili na

policej, gdyż obawiali się zemsty złodziei. Złodziei nie złapano na gorącym uczynku, znali oni dobrze rozkład pomieszczeń w oborze i wiedzieli co tam było. Ślady pozostawione w pobliżu obory dokumentowały przebieg zjawiska. Świnia została zabita w pobliżu obory świadczyła o tym duża kałuża krwi. Dalsze ślady prowadziły do drogi. Tam był przygotowany wóz konny, koła żelazne pozostawiły wyraźny ślad na drodze. Dziurę w ścianie obory naprawiono następnego dnia i na tym zakończyła się cała sprawa. Sąsiedzi, którzy mieszkali w pobliżu nic nie widzieli i nie słyszeli. Taka była atmosfera lat okupacyjnych.

Począwszy od późnej wiosny do końca lata Rodzice budzili mnie o godzinie piątej rano. O tej porze dnia trzeba było wypędzić krowy na dość odległe od domu pastwisko. Krowom bardzo smakowała trawa, na której jeszcze leżała rosa. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, czy nie mogły być wypędzane później, abym mógł się wyspać. Takie było polecenie Ojca i nie było dyskusji na ten temat. Tak było od wielu lat. Pędząc krowy na pastwisko prawie zasypiałem. One, jakby wyczuwały brak czujności i senność pastuszka, wchodziły w kartofle lub żyto sąsiada wyrządzając szkodę w uprawach. Często z tego powodu Ojciec mnie upominał. Rodzice nie byli zwolennikami stosowania kar cielesnych. Pamiętam, że raz dostałem porządne lanie od Ojca, na które zasłużyłem. Długo po tym fackie siedziałem pod stołem u Dziadków i płakałem z bólu. Nikt nie litował się nade mną, chociaż wyczuwałem, że Mama bardzo mi współczuła. Rozmowy, które prowadzili Rodzice ze mną na temat mojego zachowania czasami były bardziej bolesne od kary cielesnej, przynajmniej tak mi się wydawało.

Najtrudniejszy okres prac polowych rozpoczynał się już w czerwcu. W tym czasie rozpoczynał Ojciec koszenie łąki. Skoszoną trawę trzeba było dobrze wysuszyć. Suszenie niekiedy trwało kilka tygodni z powodu często padającego deszczu. Wysuszoną trawę zgrabiano i ustawiano w kopy, następnie zwożono w pobliżu domu i ustawiano w stogi. Przewóz siana odbywał się wozami drabiniastymi, które musiały być tak uformowane, aby w czasie transportu po różnych wybojach wóz się nie przewrócił. Widziałem kilka takich przypadków. Zdarzało się też, że siano spadało z wozu na obie strony. Ojciec potrafił ułożyć siano na wozie, nie pamiętam, aby nam przytrafiła się taka przygoda. Po skończonym zbiorze siana, rozpoczynało się koszenie zbóż. Ojciec kosił, brat odbierał z pokosu i formował snopki, ja natomiast wiązałem snopki. Pracę rozpoczynało około godziny siódmej rano z przerwą godziną na obiad, a kończono z zachodem słońca. Wieczorem wracałem bardzo zmęczony i obolały, z trudem niekiedy dowlokłem się do domu.

Następne dni były podobne. Czekałem z utęsknieniem na dzień odpoczynku, niedzielę lub inne święto. Pogoda niekiedy wyznaczała plan pracy na roli. W czasie deszczu nie prowadzono prac żniwnych, natomiast wykonywano inne prace. Po zakończeniu koszenia zbóż trzeba było skoszone zborze zwieźć do stodoły. Liczył się każdy wóz wyładowany w stodole. Wtedy pracowano od wczesnego ranka do późnego wieczora, aby uprzętą skoszone zborze suche. Po zakończonych żniwach, odbywały się omloty zgromadzonego zboża, które trzeba było przygotować do nowego siewu. Młóciliśmy zboże z bratem cepami. Ojciec był zajęty przygotowywaniem gleby pod nowe uprawy. We wrześniu kopaliśmy kartofle i warzywa. Kopaliśmy kartofle wszyscy ręcznie motyką od rana do wieczora. Wybawieniem od tej morderczej pracy był zachód słońca. Następne dni były podobne, aż do zakończenia prac. Po takiej harówce odczuwałem ból w nogach i rękach. Nie mogłem się wyprostować przez kilka dni. W czasie intensywnych prac rolnych Rodzice zwalniali mnie z pójścia do szkoły. W tym czasie nie stać było Ojca na zakup maszyn wspomagających pracę człowieka, wszystkie prace w polu wykonywano ręcznie z wyjątkiem upraw, które przy pomocy prostych narzędzi wykonywano z pomocą konia. Młócono cepami, koszono kosą, kopano motyką, siano zgrabiano i składano w kopy bez pomocy urządzeń mechanicznych, ręcznie. Już w bardzo młodym wieku odczuwałem, że stworzony zostałem nie na następcę ojca na roli, podobnego zdania byli Rodzice. Uczestniczyłem w wielu codziennych pracach, lecz wynikało to z obowiązku i solidarności w życiu rodzinnym, wzajemnej pomocy i szacunku dla Rodziców.

\* \* \*

Był rok 1942. Prawdopodobnie czerwiec. Okres ten obfitował w różne ciekawe i zagadkowe wydarzenia. Jedno kolejne opiszę w skrócie. Na terenie na, którym pilnowałem krowy rosły trzy wierzby obok siebie. Wyglądały jak trzy dorodne siostry, gałęzie miały rozłożyste. Nisko rosnące zjadły krowy. W pobliżu wierzb nie rosły żadne drzewa, ani krzewy. Z wielu posadzonych przez Ojca zostały tylko te trzy, które przetrwały zawieruchy życiowe. Podczas pilnowania krów często wspinałem się na jedno z nich. Z wysoka widziałem więcej niż na dole. Pewnego dnia zobaczyłem w pobliżu rosnącym zbożu zgromadzone skrzynki wykonane z drewna. Nie podchodziłem do nich blisko po prostu bałem się. Pole i pastwisko było oddalone około kilometra od najbliższej wsi. Wokół rozciągały się tylko łąki i pola uprawne na powierzchni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych. O dokonanym odkryciu Rodzice zakazali mi rozmawiać z nikim. Nie wolno mi było też wchodzić do miejsca znaleziska. Z ciekawości wdrapywałem się na wierzbę sprawdzając czy skrzynki jeszcze leżą. Po kilku dniach zostały



zabrane z pola na, którym rosło żyto, widocznie trafiły do adresata. Wtajemniczeni ludzie mówili, że na tym terenie dokonywano często rzutów broni dla partyzantów.

\* \* \*

Wczesny, mroźny i śnieżny poranek marcowy 1943 roku. Słońce dopiero co wychyliło się zza horyzontu. Do naszego domu bez uprzedzenia przyszedł kuzyn Feliks Szlaga. Rodzice byli bardzo zdziwieni jego wizytą. Mieszkał on razem z żoną i córką we wsi Stanisławów, oddalonej od nas około 3 kilometry. Wcześniej mieszkali w Warszawie. Z powodów nam nieznanych sprowadzili się do najbliższej rodziny do wsi Stanisławów. Pewnego dnia przysła do nas żona Szlaga i prosiła Ojca, aby jej pozwolił zamieszkać w pustym domu, opuszczonym przez macochę mojej Mamy, która ponownie wyszła za mąż i przeprowadziła się do męża. Ojciec zgodził się na to pod wpływem wujka Władysława Parola, dawnego opiekuna Mamy. Za wyświadczoną przysługę Feliks Szlaga zobowiązał się pomóc nam w pracach gospodarczych.

Wydawało się trochę podejrzane, gdy Szlaga nalegał, że dziś koniecznie chce pomagać nam w pracy. W tej sytuacji Ojciec podjął decyzję, że będą razem młócić zboże. Szybko zabrano się do roboty w stodole. Mama jak zawsze przygotowała śniadanie około godziny 8.00. Po posiłku Szlaga wrócił do stodoły. Ojciec na chwilę zatrzymał się w domu. W rozmowie z Mamą stwierdził, że kuzyn zachowuje się jakoś nerwowo, często wychodzi ze stodoły i rozgląda się na wszystkie strony. Po przyjeździe do stodoły zapytał Szlagę czy kogoś oczekuje. Uzyskał odpowiedź, że nie. Swoje zachowanie uzasadnił tym, że dokucza mu żołądek. Ojciec przyjął jego wyjaśnienia za wystarczające, niczego nie podejrzewając. Tego dnia wiał silny, mroźny wiatr, na dworze panowała zadymka. W południe do naszego domu weszli trzej mężczyźni. Byli uzbrojeni. Policjant w czarnym mundurze miał karabin, natomiast dwaj pozostali byli w cywilnych ubraniach i posiadali broń krótką. Mówili wszyscy po polsku. Jeden był wysoki i szczupły, drugi krępy i gruby. W dalszym opowiadaniu będę używał dla odróżnienia „wysoki” i „gruby”. Gruby zapytał Mamę, gdzie ukrywamy Szlagę. Odpowiedziała, że nie ukrywamy. Dziś rano przyszedł do nas i teraz pomaga mężowi w pracy. Obaj są w stodole. Wtedy zażądali, abym ich tam zaprowadził. Mama niczego nie podejrzewała. Wyszedłem z domu. Przede mną szedł wysoki, za mną gruby. Policjant został w domu. Ja też szybko wróciłem do domu po wskazaniu miejsca, gdzie przebywali Ojciec i Szlaga. Cywile podeszli bliżej i przez uchylone drzwi zapytali o nazwiska obecnych w stodole. Ojciec podał swoje nazwisko i wyjaśnił, że dowód przechowuje w domu. Następnie zwrócili się do Szlaga. „Parol – odpowiedział im. – a dowód zostawiłem w domu”. „Wobec tego idziemy tam” – powiedział wysoki. Szli jeden za drugim, Ojciec, gruby, Szlaga, a na końcu wysoki. Nastąpił moment zamieszania. Ojciec był już w sieni, gruby też, gdy Szlaga wchodząc szarpnął wysokiego. Ten się przewrócił. W całym tym zamieszaniu Szlaga zaczął uciekać. Trwało to kilka sekund. Wysoki zaczął go gonić i strzelać. Wskoczyli z domu pozostali policjanci i rzucili się w pościg. Oddali kilka strzałów z pistoletów, lecz chybili. Karabin, który posiadał granatowy policjant zaciął się. Szlaga uciekał jak opętany, przewracał się co chwilę, biegł gnany strachem. Wydawało mu się, że pogoń za nim jest bardzo blisko, tuż za jego plecami. Kierował się w stronę zabudowań Parolów. Parole – było to kilka gospodarstw na wydźwiniętym terenie należącym do wsi Kopiska. Dopadł pierwszych zabudowań, zwolnił, rozejrzał się. Nikt go nie gonił. Policjanci nie mieli ochoty go gonić podczas śnieżnej zadymki.

Wejście policji do naszego domu było dla nas wielkim zaskoczeniem. Nie znaleźliśmy przyczyny poszukiwania Szlaga. Jak się później okazało Feliks Szlaga był poszukiwany przez policję, ponieważ dokonał wraz z grupą innych ludzi nocnych napadów rabunkowych na gospodarzy zamieszkałych w sąsiednich wioskach. Został on rozpoznany przez jednego z mieszkańców, który zawiadomił policję podając jego miejsce zamieszkania i składowania zrabowanych rzeczy. O tych poszukiwaniach i działalności bandyckiej wiedziała nasza rodzina zamieszkała we wsi Stanisławów. Nie uprzedzono jednak ojca o tym fakcie. Dowiedzieliśmy się dopiero w dniu tragicznym dla nas. Jak się później okazało policjanci byli we wsi Stanisławów u wujostwa Parolów i tam uzyskali informacje, że Szlaga w tym dniu przebywał u nas.

Policja przeprowadziła bardzo szczegółową rewizję w całym gospodarstwie. Nic nie znaleźli co mogło mieć związek z działalnością Szlaga. Ojciec został aresztowany i przewieziony do więzienia w Grodzisku Mazowieckim. Mamie udało się dotrzeć do odpowiednich ludzi, którzy decydowali o jego dalszym losie. Po dwóch tygodniach pobytu w więzieniu został zwolniony z braku dowodów winy, których nie mogło być. Do rodziny, która mieszkała we wsi Stanisławów bardzo długo mieliśmy żal.

\* \* \*

Rok 1943. Głęboka, majowa, ciemna noc. Słysząc było w domu obecność ludzi na podwórku. Psy szczekały bardzo głośno były one uwiązane na łańcuchach w pobliżu domu. Szczekanie przeradzało się w ujadanie. Słysząc było wyraźne kroki zbliżających się osób do domu. W tym czasie pojawienie się

ludzi w nocy nie wróżyło nic dobrego. Mogli być to Niemcy, partyzanci lub bandyci. Zachowanie psów wykluczało najście Niemców, gdyż psy na widok broni gotowej do strzału w budach szukały schronienia i nie szczekały. Liczne stapania kroków świadczyły, że na podwórku było kilka osób. Wszyscy w domu nie spaliśmy i czekaliśmy z niepokojem co będzie za chwilę. W milczeniu unieruchomieni by skupić słuch i obserwować rozwój sytuacji. Po chwili słychać było pukanie do drzwi, prawie jednocześnie do okna, początkowo spokojnie, a po chwili gwałtownie. Potem męski głos krzyżący „proszę otworzyć!” Mama podniosła się z łóżka i zbliżyła się do okna pytając kto tam. Człowiek ten sam, który wcześniej żądał i teraz powtórzył: „Proszę otworzyć – partyzanci”. Jedynych gości nocnych, których przyjmowano życzliwie byli to partyzanci. Ale Rodzice wiedzieli, że grasujące bandy często podszywały się pod nich. W ciemnościach nocy trudno było odróżnić. Ludzie ci dokładnie posiadli znajomość rozkładu domu, gdyż do Dziadków nikt nie pukał. Dziadkowie mieszkali w innej izbie. Nie było możliwe rozpoznanie w nocy kto jest na podwórku. Trzeba było otworzyć drzwi. Po chwili Mama odpowiedziała, że już otwiera, lecz musi się ubrać. Wszyscy czekaliśmy z lękiem co będzie dalej. Mama otworzyła drzwi wejściowe, które były zamykane od wewnątrz na dość prymitywną zasuwkę. Można je było łatwo wyważyć. Zasuwka nie stanowiła prawie żadnej zapory, lecz było to zamknięcie chroniące przed grasującymi dzikimi psami. Na wsiach w tym okresie nie zamykano drzwi wejściowych do domu, gdyż nie było takiej potrzeby. Gospodarze w Kopiskach nie zamykali też innych budynków: obór chlewów, kurników i piwnic.

Po otwarciu drzwi Mama zobaczyła trzech zamaskowanych mężczyzn, z karabinami wycelowanymi w nią. Za późno już było na reakcję. Mieli czarne kaptury na głowach, które zasłaniały im twarze. Bywały przypadki rozpoznania bandytów, lecz kończyły się one tragicznie dla osób, które rozpoznały. Byli to ludzie prawdopodobnie mieszkający w pobliżu naszego domu. Jeden z bandytów szarpnął Mamę i wyciągnął na zewnątrz. Dwaj pozostali wpadli do mieszkań – jeden do naszego, a drugi do Dziadków. Wypędzili dorosłych na podwórko boso i bez ubrania. My z siostrą i bratem leżeliśmy wystraszeni pod pierzyną. Bandyta, który był w naszym pokoju zdarł pierzynę, a zobaczywszy małe dzieci ponownie narzucił ją na nas. Leżeliśmy nic nie widząc co się dzieje. Słyszeliśmy jak przewraca w szafie, w szufladach, wszędzie tam, gdzie można było schować coś cennego. Z szuflad stołu, kredensu i szafy ubraniowej wyrzucił wszystko na podłogę. Zobaczyliśmy to dopiero po ucieczce pospolitych bandytów. Ściągnęli z palców mamy i ojca obrączki, zabrali kilka srebrnych monet, które były przechowywane na tak zwaną czarną godzinę. Nie wahali się przy tym okaleczyć dłoni Mamę.

Plądrowanie mieszkania trwało dość długo. Zabrali wszystkie przedmioty, które stanowiły jakąś wartość. Zabrali nawet sukienkę białą i buciki siostry, która za kilka dni miała przystąpić do i Komunii Świętej. Na podwórku wszystkich domowników ustawili pod ścianą i żądali oddania złota grożąc zabiciem w przypadku nie spełnienia ich żądań. Podobnie splądrowali mieszkanie Dziadków. Jeszcze dziś słyszę słowa rozpaczki Mamę i prośbę, aby darowali życie. Słyszając jej płacz wybiegliśmy – ja, siostra i brat – na podwórko, błagając bandytów, aby nie zabijali nikogo. Nigdy nie zapomnę tych przeżyć. Tego lęku, poniżenia i przerażenia. Okradli nas prawie ze wszystkiego. Płacz i krzyk na podwórku spłoszył bandytów, którzy obawiając się, że ktoś może udzielić nam pomocy.

Bandyckiego napadu Ojciec nigdzie nie zgłosił, ponieważ nie miał pewności kto go dokonał. Nigdy nie szukał odwetu. W czasie trwania okupacji niemieckiej nie wolno było przebywać poza domem w godzinach policyjnych. Osoby nie stosujące się do zarządzeń okupanta w przypadku ich złapania mogły być na miejscu rozstrzelane. Zdarzały się takie przypadki. Jedynie mogli się poruszać ludzie pilnujący wsi przed obcymi. Była to fikcja, nikt nie reagował, nawet jeżeli spotkał w czasie swego dyżuru obce osoby. Każdego dnia inny gospodarz według kolejności zamieszkania musiał dokonywać obchodu wsi w godzinach nocnych. Czasami żandarmi sprawdzali pełnienie dyżurów. Dyżurni zakładali na rękawy opaski, które stanowiły przepustkę wydaną przez władze gminy. Nie było takiego przypadku, aby dyżurny zauważył jakąś nieprawidłowość na wsi. Żaden gospodarz nie traktował poważnie tego polecenia władz. Po wojnie Rodzice wymieniały nazwiska rozpoznanych bandytów, a nawet poznali nasze rzeczy, które nosili na sobie. Ludzie nigdy nie mogli nam spojrzeć w oczy. Grabież, którą dokonali nigdy nie przyniosła im szczęścia. Zawsze brakowało im chleba. Nie mieli nic w domu z wyjątkiem butelek po wódce. Nie dochodziliśmy swej krzywdy. Przebaczyliśmy tym ludziom, lecz pamiętamy.

\* \* \*

Nastało lato 1943 roku, pełne niepokoju o przyszłość. Terror niemiecki i ukraiński nasilał się. Niemcy mordowali niewinną ludność. Ukraińcy grabili, mordowali i gwałcili napotkane kobiety. Ciągłe łapanie, egzekucje niewinnych ludzi niekiedy przypadkowo złapanych. Konfiskaty mienia, najazdy i zabieranie żywego dobytku to rzeczywistość tego okresu. W nocy wzmoczona działalność bandytów pogłębiała tę smutną rzeczywistość. Brak pomocy ze strony władz okupacyjnych. Podejrzliwość

w stosunku do sąsiadów mieszkających w sąsiednich wioskach, którzy mogli być powiązani z określonymi grupami bandyckimi. Nastął okres niepewności jutra, zwątpienia i przygnębienia.

Dzieci nie do końca zdawały sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Pomimo tych zagrożeń Rodzice posyłali mnie i brata do szkoły. Chodziłem i wracałem razem z dziećmi, nawet najmłodszymi. Jednym z nich był Edmund Nowakowski. Mieszkał on z matką w pobliżu naszego domu. Ojciec jego nie wrócił z wojny.

Nie zawsze chodziłem do szkoły i z powrotem najkrótsza drogą. Czasami z kolegami włóczyliśmy się po różnych zakamarkach. I tak było pewnego majowego poranka. Idąc z Edmundem do szkoły odwiedziliśmy wszystkie sadzawki na trasie. W każdej puszczałyśmy tak zwane kaczki. Każdy z nas chciał zostać zwycięzcą. I tak zabawa czasami trwała dość długo. W jednej głębokiej sadzawce w pobliżu domu zobaczyliśmy na dnie karabin. Obok niego leżała torba. Sadzawka znajdowała się w pobliżu chatki, w której mieszkał młody, samotny człowiek. Sąsiedzi rzadko widywali go w domu. Nie wiedzieli czym się zajmował. Nie utrzymywał kontaktów sąsiedzkich prawie z nikim. Na wsi ludzie mówili, że mieszka tam Żyd. W wielu rodzinach wsi Kopiska byli przechowywani Żydzi. Prawdopodobnie oczekiwał nieproszonych gości i dlatego chciał ukryć broń. Kiedy i gdzie wyprowadził się – nikt na wsi nie potrafił powiedzieć. Ponieważ mieliśmy już mało czasu, a nie wolno było spóźnić się na lekcje postanowiliśmy, że w drodze powrotnej zajmiemy się znaleziskiem. Po lekcjach ponownie przyszedliśmy do sadzawki uzbrojeni w długie kije, którymi mieliśmy wyciągnąć karabin wraz z torbą. Torbę wyciągnęliśmy szybko. Miała ona pasek, który udało nam się zaczepić na kij i w ten sposób wyciągnęliśmy na brzeg. Wewnątrz znajdowała się amunicja, pociski do karabinu. Ucieszyliśmy się bardzo, ponieważ zaplanowaliśmy sobie trochę postrzelać. Karabin nie miał żadnego zaczepu. Zdecydowaliśmy się rozebrać z ubrań i wejść do wody. Była bardzo zimna. Jednak nie mogliśmy znaleźć miejsca, gdzie leżał zakopany w mule karabin. Czekaliśmy długo, aż woda oczyściła się z mułu i widoczność dna była dobra. Ponowne wejście zakończyło się sukcesem. Wyciągnęliśmy karabin na brzeg. Nie zdawaliśmy sobie sprawy na co narażamy siebie i swoich Rodziców. Był to stary radziecki karabin 10 strzałowy z pierwszej wojny światowej. Po oczyszczeniu go z błota próbowaliśmy wyjąć zamek, lecz nie potrafiliśmy tego dokonać. Złożyliśmy przysięgę, że o znalezisku nikomu nie powiemy i nie zdradzimy miejsca jego ukrycia. Karabin z torbą schowaliśmy w krzakach daleko od zabudowań Edmunda. Umówiliśmy się, że jutro wracając ze szkoły zajmiemy się tym.

Wróciłem do domu z kilkugodzinnym opóźnieniem. Rodzice byli zaniepokojeni i zdenerwowani, gdyż różne rzeczy mogły się zdarzyć. W napięciu czekałem następnego dnia. W domu nic nikomu nie mówiłem, nie mogłem złamać przysięgi. W szkole spotkałem speszzonego Edmunda, który potwierdził, że po lekcjach będzie czekał na mnie i razem pójdziemy do schowka. I tak się stało. Poszliśmy razem do miejsca schowanej broni. Jednak nie było już naszego znaleziska. Jeszcze tego samego dnia powiedziałem o wszystkim dokładnie rodzicom, którzy mi zakazali rozmawiać z kimkolwiek na ten temat.

\* \* \*

Było to 23 czerwca 1943 roku. Wstał piękny, słoneczny poranek. Może była godzina piąta rano. Zapowiadał się następny słoneczny i ciepły dzień. Jednak w tym dniu wyczuwało się dziwne podniecenie ludzi. Zdenerwowanie i złe przeczucia stwarzały atmosferę niepokoju i wyczekiwania. Czasy były trudne, niebezpieczne i każda godzina mogła przynieść wieści tragiczne. Na dobre nikt nie liczył, ani ich nie oczekiwał.

Po grobli stawu od strony Jaktorowa na rowerach w kierunku wsi Kopiska zbliżali się czterej uzbrojeni żandarmi. Nikt nie wiedział dokąd jadą. Wiadomo było na pewno, że ta wizyta niczego dobrego nie wróżyła. Młodzi mężczyźni próbowali się ukryć lub też uciec jak najdalej od domu. Ludzie byli przekonani, że żandarmi jadą, aby kogoś zabrać do więzienia lub na miejscu dokonać egzekucji. Każdy mieszkaniec Kopisk liczył i miał nadzieję, że może jego nie dosięgnie zły los. Nie trzeba było mieć coś na sumieniu lub popełnić jakiś czyn przestępczy, aby zostać aresztowanym i zamordowanym czasami w torturach. Wiedzano, że nie jest to oblawa na ludzi. Każda oblawa była organizowana z kolumną samochodów i dużą liczbą żandarmów. Wtedy obstawiali całą wieś tworząc kocioł, który stopniowo był zaciskany, wyciągali z kryjówek młodych ludzi i wsadzali do samochodów, po czym wywozili do obozów zagłady lub na przymusowe roboty. Chwile zagrożenia, przerażenia trwały w nieskończoność. Żandarmi dojechali do zagrody Domańskich. Cała rodzina utrzymywała się z pracy najemnej, którą wykonywali u różnych zamożnych gospodarzy i w majątku mecenasa. Edward Domański pracował dorywczo u Wacława Łęcarskiego, który mieszkał w Kolonii Jaktorowskiej. Oskarżył on kilku młodych mężczyzn, w tym Domańskiego, o kradzież zboża i zawiadomił o tym fakcie żandarmerię w Żyrardowie. Była to jedna wersja na temat donosu. Inną opowiadał Wacław Łęcarski. W każdym bądź razie żandarmi po przyjeździe do zagrody wylegitymowali wszystkich mieszkańców domu. Przeszukali całą zagrodę, ale nic nie znaleźli. Postawili wszystkich mieszkańców pod ścianą domu. W czasie najazdu Niemców Edward był w stodole. Widząc przez szparę co się dzieje na podwórku, uciekł

do pobliskiego rowu. Jednak nie oddał się, czekając na koniec zdarzenia. Żandarmi przekonani byli, że mieli poszukiwaną osobę wśród zatrzymanych. Przygotowywali się do wykonania egzekucji. Nie pomogły nawet wyjaśnienia sołtysa, że ten człowiek nigdy nie był zatrudniony u Waława Łęcarskiego. W chwili krytycznej poszukiwany Edward Domański wyszedł z rowu i ponownie wszedł do stodoły. Tam został zauważony przez żandarmów. Został skatowany i aresztowany. Dla jednego z Domańskich tragedia się skończyła, dla drugiego zaczęła się. Zakuli go w kajdanki i postawili przed stodołą w celu dokonania egzekucji. Zmieniali miejsca stracenia na terenie zagrody. Ta ceremonia trwała bardzo długo. Celowo znęcali się nad całą rodziną i mieszkańcami wsi. Nigdy nie zapomnę płaczu kobiet, tego krzyku rozpacz, błagania morderców o litość, o darowanie życia 18-letniemu człowiekowi, niewinnie oskarżonemu. Płakali ludzie nie tylko w zagrodzie Domańskich, ale prawie wszyscy mieszkańcy wsi Kopiska. W naszym domu płakały kobiety. Zachowanie się rodziny Domańskich może zrobiło jakieś wrażenie na oprawcach, gdyż nie dokonali egzekucji na terenie zagrody, lecz zabrali młodego człowieka do więzienia w Żyrardowie. Jednak następnego dnia wywieźli go do lasu w Międzyborowie i tam dokonali morderstwa. Następnego dnia został wykonany wyrok śmierci na Waławie Łęcarskim. Zdążył on jeszcze odwołać wszystkie oskarżenia, lecz było już za późno. Zginęli trzech niewinnych ludzi. To przeżycie utkwiło mi głęboko w pamięci. Nie był to odosobniony przypadek. Takich było wiele w czasach mojego dzieciństwa, w czasach okupacji niemieckiej.

\* \* \*

Czerwiec 1943 roku. Zbliżały się Ojca imieniny. Zapowiadał się piękny i słoneczny dzień. Była może godzina 10.00 rano, słońce świeciło na bezchmurnym niebie. Na dworze było cicho i spokojnie. Wybrałem się na łąkę w pobliżu stawów rybnych mecenasa, aby nazbierać trochę kwiatów polnych goździków, które rosły tam najdorodniejsze. Chciałem przeznaczyć je na prezent imieninowy dla Ojca. W domu naszym zawsze składano sobie życzenia z każdej okazji urodzin lub imienin. Solenizantowi składaliśmy życzenia oraz w miarę możliwości obdarowywaliśmy się drobnymi upominkami. Tego dnia zbierając kwiaty na łące zobaczyłem nadlatujący samolot, który kilkakrotnie okrążył dość rozległy teren łąk. Latał niezbyt wysoko. Latające samoloty nad łąkami nie były zjawiskiem wyjątkowym. W pewnej chwili może w odległości około 400 metrów ode mnie zobaczyłem wyrzucone z samolotu jakieś przedmioty. Początkowo zacząłem biec w kierunku spadania przedmiotów. Spadały one oddalając się ode mnie. Po chwili zatrzymałem się, aby zapamiętać miejsce upadku przedmiotów. Upadek pierwszego spowodował eksplozję, potem następną i następną. Było ich pięć. Po pierwszym wybuchu upadłem na trawę. Gdy samolot odleciał, nie słyszałem warkotu podniosłem się z ziemi i pobiegłem w stronę rzuconych bomb. Nie wyrządziły one dużych szkód poza wrytymi dużymi lejami na łąkach. W pobliskich domach wyleciały szyby z okien. Wydaje mi się, że odłamki pochodzące z eksplozji mogły mnie dosięgnąć, na szczęście nie dosięgły.

\* \* \*

W ostatnich latach okupacji niemieckiej ludność cywilną zmuszano do kopania różnych umocnień, rowów, tuneli, rowów przeciwczołgowych i innych. Każdy gospodarz musiał odpracować wyznaczoną przez gminę określoną ilość dniówek. Zaprzęgano do pracy ludzi dorosłych, młodzież, a nawet i dzieci. Brałem udział w tych pracach kilkakrotnie. Wykonanie i zaliczenie dniówki wykopanie wyznaczonego odcinka rowu zaliczał policjant, który nadzorował przebieg prac. W terenie zarośniętym krzewami wykopanie określonej długości rowu było bardzo trudne i trwało niekiedy od wschodu do zachodu słońca. Za zaliczone dniówki Niemcy płacili wódką. Celem okupanta było zdemoralizowanie narodu. Łatwa dostępność do alkoholu stwarzała zawsze okazję do wypicia. Okupant przymykał oczy nawet na produkcję bimbrowy, który był wytwarzany w wielu gospodarstwach wiejskich. Ludzie szybko upijali się, gdyż byli głodni i osłabieni. Pod wpływem alkoholu wykazywali pijacką odwagę, opowiadali publicznie różne zasłyszane wiadomości, które były wykorzystywane przez Niemców.

W Kopiskach zdarzały się przypadki tragiczne, które miały swój początek podczas libacji alkoholowej. Inne przypadki tragiczne to rozpoznanie bandytów podczas nocnych grabieży. Dla zatarcia śladów dokonywali oni morderstw na osobach napadniętych. Trudne i niepewne to były czasy. Niemcy mordowali w dzień, a zorganizowane bandy grabiły i mordowały w nocy.

\* \* \*

Pamiętam, był to dzień 20 lipca 1943 roku. Dość późne popołudnie. Było pochmurno i deszczowo. W pewnym momencie zobaczyliśmy młodych mężczyzn, którzy uciekali przez wieś i krzyczeli: „Niemcy! Uciekajcie!” Do uciekających co chwila dołączali inni i tak utworzyła się dość duża grupa ludzi, przeważnie młodych. W pierwszym momencie wydawało nam się, że Niemcy zorganizowali łapankę. Z

samochodu wywlekli dwunastu mężczyzn, którzy mieli związane ręce. Ustawili ich w szeregu na łące przy drodze. Strzałami z pistoletów maszynowych dokonali egzekucji niewinnych ludzi. Jak się później okazało byli to aresztowani w sąsiednich wioskach, oddalonych od Kopisk kilkanaście kilometrów. Należeli do tajnej organizacji Batalionów Chłopskich. Do dnia dzisiejszego tajemnica ich aresztowania nie została wyjaśniona. Po dokonaniu egzekucji Niemcy pod groźbą użycia broni zgonili starych, wystraszonych ludzi do wykopania grobu i pochowania pomordowanych. W miejscu tym stoi dziś pomnik. Był to jeden z tragicznych dni, a takich było wiele na tym terenie. Niemcy mordowali ludzi dla zastraszenia innych, którzy próbowali się przeciwstawić okupantowi. Aresztowali niewinnych niezależnie od pory dnia i nocy. Podczas najazdów na wioski ubierali się dostosowując swą odzież do barwy otoczenia. Jeżeli na dworze był śnieg, wtedy zakładali białe okrycia, aby zamaskować swą obecność.

\* \* \*

Inne zdarzenie, które utkwilo mi w pamięci miało miejsce w 1944 roku wczesną jesienią. W ciepłą i słoneczną niedzielę w godzinach popołudniowych do zagrody Stanisława Ziemińskiego przyjechali bryczką goście z komendy policji z Żyrardowa. Towarzystwo było trzyosobowe: dwaj Niemcy i kobieta, prawdopodobnie też Niemka. Dom Ziemińskich jak i cała zagroda wyróżniała się w okolicy. Wszystkie budynki były murowane, wysoko podpiwniczone, dachy pokryte blachą. Obszerne wybetonowane podwórko, duży ładny sad, ładnie wypielegnowane trawniki ogród, magazyn i suszarnia ziół bardzo obszerna. Gospodarstwo było ogrodzone deskami. Idący przechodzień drogą lub przejeżdżający wozem człowiek nie widział co się działo na podwórku. W tym tragicznym dniu przez nikogo nie zauważeni goście otworzyli sobie bramę i wjechali na podwórko. Należy mniemać, że robili to nie po raz pierwszy. Na podwórku w tym czasie oddział tajnej organizacyjnej doskonalił swoje umiejętności w posługiwaniu się bronią.

Zaskoczenie z jednej i drugiej strony było ogromne. Pierwsi zorientowali się w sytuacji Niemcy. Zabrali zakładnika i szybko bryczką zaczęli uciekać. Po pewnym czasie rozproszeni partyzanci ochłonęli z wrażenia i postanowili gonić Niemców w celu ich zlikwidowania i odbicia zakładnika. W odległości około trzech kilometrów od miejsca zdarzenia dogonili uciekających. Tamci byli tak przerażeni, że nawet w pierwszej chwili nie strzelali do goniących partyzantów. Jeden Niemiec został zabity, a zakładnik uciekł z bryczki i dołączył do grupy pościgowej. Pozostali – Niemiec i Niemka uciekli pieszo do Jaktorowa. W tym czasie kwaterował tam oddział Wehrmachtu.

Mama była bardzo blisko miejsca akcji, u swojej ciotki we wsi Stanisławów. Znała ludzi, którzy brali udział w zajściu. Zdawała sobie sprawę, że rodzinom tych osób grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Wracając do domu powiadomiła rodziny o wpadce. Mogli oni uciec z domu lub pochować różne rzeczy. Po kilku godzinach wieczorem Niemcy stacjonujący w Jaktorowie rozpoczęli odwet. Wchodzili na podwórka wszystkich gospodarstw. Świecili latarkami do mieszkań. Jeżeli znaleźli jakiś ślad, ktoś był w domu i nie spał, wtedy wyciągali go z domu, zabierali z sobą lub dokonywali na miejscu egzekucji bez wyroku. Zamordowali kilka niewinnych osób. W naszym domu tej nocy nikt nie spał, wszyscy byliśmy w łóżkach, czekaliśmy na najgorsze. Nie było innego rozwiązania w tej sytuacji. Niemcy dwa razy tej samej nocy wchodzili na nasze podwórko i świecili latarkami przez okna do mieszkania i zaglądali co się dzieje. Pierwszy raz, gdy szli do miejsca zdarzenia, a następnie wracając. Były to straszne chwile. Na podwórku były uwiązane dwa psy, które zawsze na widok obcych ludzi robiły dużo hałasu. Tej nocy żaden nie zaszczekał na chodzących po podwórku Niemców. Psy wyczuwały sytuację lub bały się broni. Po dudniących krokach można było się domyślać, że chodzili w grupach czteroosobowych. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że Niemcy zamordowali czterech mężczyzn. Dwóch zabrali z sobą do Żyrardowa i po kilku dniach zamordowali w Międzyborowie. Tam najczęściej mordowano więźniów, których przetrzymywano w więzieniu w Żyrardowie. W tej sytuacji jedyną rzeczą, którą można było zrobić to modlić się do Boga o przeżycie. Z zagrody Stanisława Ziemińskiego Niemcy zabrali wszystkie zwierzęta i rzeczy, które stanowiły jakąś wartość. Stanisław Ziemiński wraz z żoną zdążyli uciec i schronili się u swojej rodziny, która mieszkała kilka kilometrów od wsi Stanisławów. Do czasu wyzwolenia ukrywał się przed Niemcami, często zmieniał miejsca pobytu. Nie mógł pójść do partyzantki, ponieważ był inwalidą.

W czasie okupacji niemieckiej na wsi żyło się ciężko. Brakowało wszystkiego, aby żyć trzeba było szukać różnych rozwiązań. Wiele działań przeprowadzano w tajemnicy przed Niemcami. W naszym domu przerabiano zboże na mąkę, jęczmień na kaszę. Wytwarzanie kaszy jęczmiennej odbywało się według opracowanej technologii. Wrzucano około 600 gramów jęczmienia do stępy. Stępa to duża okrągła dziupla wydrążona w dużym pieńku dębowym obitym blachą w kształcie garnka. Do dziupli sypano jęczmień, nawilżano go wodą i przy pomocy drewnianego drąga zakończonego grubym półokrągłym końcem ubijano jęczmień aż do chwili oczyszczenia z łusek. Praca była ciężka, drąg ważył kilka kilogramów. Cykl taki trwał około dwóch godzin. Po oczyszczeniu i wypłukaniu łusek, jęczmień

suszono w piecu. Tak przygotowane ziarno śrutowano w młynkach. Posiadanie młynka oraz wykorzystywanie go do mielenia zboża było zabronione przez Niemców. Zboże można było mleć w młynie, lecz trzeba było uzyskać z gminy pozwolenie. Otrzymywali je ci gospodarze, którzy wywiązali się z obowiązkowych dostaw. Nie zawsze to było możliwe, gdyż nakładane przez gminę kontyngenty niekiedy przewyższały zebrane plony. Kontyngenty ustalano biorąc pod uwagę powierzchnię uprawianej ziemi. Gospodarze, którzy nie wywiązali się z obowiązkowych dostaw byli narażeni na rewizję. W przypadku znalezienia nadwyżek zabierali wszystko, a jednocześnie nakładano wysokie kary. Rolnicy chowali zboże w różnych miejscach, czasami w słomie lub sianie w stodole. Najczęściej po dłuższym okresie przechowywania było całkowicie zjedzone przez myszy lub szczury. Oddanie kontyngentów wyznaczonych przez gminę w postaci zboża, kartofli i mięsa nie zabezpieczało przed grabieżą pozostałego mienia.

\* \* \*

Nawet w okresie największego zagrożenia życia w czasie okupacji niemieckiej ludzie w maju zbierali się przed kapliczkami wiejskimi i śpiewali pieśni do Matki Boskiej. Były to tak zwane majówki, które odbywały się po zachodzie słońca. Ludzie wolni od codziennych prac mogli się wieczorem spotkać na wspólnej modlitwie. Kapliczki zawsze przystrajane były kwiatami. Przy niektórych stały ławki lub też z najbliższych domów przynoszono krzesła na czas uroczystości. Jedną z takich kapliczek stała przy zbiegu dróg Kopiska - Baranów. Dla nas, młodych, majówka była okazją do spotkania się z koleżankami lub kolegami. Pamiętam, że niekiedy bardzo późno wracałem do domu. Rodzice byli tym zaniepokojeni. Obawy były uzasadnione, ponieważ żyliśmy w czasach okupacji niemieckiej, przebywanie poza domem w nocy było zakazane przez okupanta. Do stałych uczestniczek w modlitwach majowych należała grupa starszych kobiet, one decydowały o całej ceremonii. Moja siostra mieszkała w pobliżu kapliczki, którą pielęgnowała, starsze panie poprosiły ją, aby przewodniczyła ceremonii i grupie. Po śmierci siostry żadna z kobiet nie chciała podjąć się tego zadania. Wiele razy będąc już dorosłym chłopcem uczestniczyłem w majówkach przyjeżdżając w soboty do rodzinnego domu.

Na wsi był mały sklepik, w którym można było dostać chleb przywożony dwa razy w tygodniu. Niewiele osób nabywało chleb w sklepie. My też bardzo rzadko kupowaliśmy. Najczęściej Rodzice wypiekali chleb w domu w specjalnie wybudowanym piecu. Do wypieku podczas okupacji wykorzystywano mąkę z ziarna zmielonego w młynku domowym. Zmielone ziarno przesiewano w gęstych sitach. Mąka była szara i razem z otrębami. Kilka dni wcześniej Rodzice przygotowywali zakwaszony zaczyn, który mieszały z drożdżami i odstawiali na czas rozrostu. Ciasto urabiał Ojciec w specjalnie przygotowanej dzieży. Było ono pozostawiane na dwa dni w ciepłym miejscu obok kuchni węglowej, aby wyrosło. Przed samym wypiekiem porcjował ciasto na bochenki i układał na liściach z chrzanu, ażeby wypiek miał pikantny smak. W trakcie formowania chleba nagrzewano piec, w którym palono suchym drzewem lub uformowanymi bryłami słomy. Pracę tę wykonywał Ojciec. Mama w międzyczasie z resztek ciasta robiła małe bułeczki, podobne do groszówek. Na te właśnie bułeczki czekaliśmy z dużą niecierpliwością. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy zostaną wyjęte z pieca. Czasami w trakcie urabiania bułeczek przez Mamę zaznaczaliśmy, które należą do kogo. Po wyjęciu z pieca nie wolno było nam ich jeść, ponieważ od gorącego ciasta mogliśmy się rozchorować, tak przynajmniej twierdzono w domu. Aby szybciej wystudzić bułki dmuchaliśmy na nie. Chęć jedzenia ich nie wynikała z głodu, a raczej z łakomstwa.

Na wsi istniał zwyczaj wypożyczania chleba sąsiadom. Z całego wypieku pozostawały w domu 3-4 bochenki. Chlebem gospodarowano dość oszczędnie. Każda kruszyna była zebrana i zagospodarowana. Nigdy nie wyrzucano chleba do śmieci. Za moich młodych lat był on świętością. Przed rozkrojeniem nowego bochenka nożem rysowano na nim znak krzyża. Chociaż upłynęło już tyle lat, ja wciąż pamiętam wygląd bochenków i bułek, czuję ich smak i zapach.

W latach swej młodości wzrastałem w atmosferze miłości i dobroci. Rodzice traktowali swoje dzieci poważnie i z szacunkiem. Ta atmosfera stworzyła we mnie uczucia wzajemności i wrażliwości na biedę innych ludzi oraz traktowania świata jako przyjaznego.

\* \* \*

Na początku lipca 1944 roku do Kopisk przybył oddział kawalerii węgierskiej. Liczył około pięciuset żołnierzy i tyle samo koni. Rozlokowali się we wszystkich gospodarstwach chłopskich. Służyli oni w armii niemieckiej. Nie wiem, czy to byli ochotnicy czy też zostali wcieleni do wojska z przymusu.. Nie wyrażali radości z tego powodu. Tęsknili za krajem i swoimi rodzinami. Mieszkańcy byli zobowiązani karmić żołnierzy i konie. Dowództwo węgierskie wyznaczyło kontyngenty w postaci dostaw żywności i paszy dla koni. Był to dodatkowy kontyngent, który nie zwalniał z nałożonych przez Niemców dostaw obowiązkowych. Obciążenie gospodarstw wiejskich było bardzo duże. W naszej rodzinie nikt nie znał

języka węgierskiego, porozumiewano się więc na migi, wymachiwano rękami i bardzo często uśmiechano się do siebie. Czasami rysowano patykiem na podwórku różne figury geometryczne. Żołnierze często przychodzili do nas do domu, my też odwiedzaliśmy ich w stodole. Ludność miejscowa nie traktowała Węgrów jako najeźdźców, ale jako przyjaciół. W tym czasie do naszej wioski nie przyjeżdżali żandarmi niemieccy. Noce też były spokojne i bezpieczne, nie było grabieży ze strony różnych uzbrojonych band. Zagrożeni aresztowaniem mieszkańcy innych wsi szukali schronienia w naszej wiosce.

Okres ten trwał krótko, bo 29 września 1944 roku w oddziale węgierskim wprowadzono stan ostrego pogotowia. Nie wiedzieliśmy co było powodem. Słychać było w pobliżu strzały z broni maszynowej i wybuchy granatów. Okazało się, że oddziały polskie przemieszczające się z Puszczy Kampinoskiej w Góry Świętokrzyskie zostały zaatakowane przez bardzo silne jednostki niemieckie. Niemcy do działań wprowadzili czołgi, armaty, samochody pancerne i lotnictwo. Na torach kolejowych pomiędzy Żyrardowem i Jaktorowem postawili pociąg pancerny, który uniemożliwił żołnierzom polskim wyrwanie się z okrążenia i dotarcie do Puszczy Mariańskiej. W dniu tym od wczesnych godzin rannych nad polami i łąkami rozpościerała się mgła. W miarę upływu czasu stawała się coraz mniejsza, nastął piękny, słoneczny dzień. Widoczność była bardzo duża. W okolicach Kopisk rozpościera się równina pokryta polami uprawnymi i łąkami. W promieniu kilku kilometrów widać było nawet pojedyncze osoby. Samoloty wykorzystując dobre warunki latały bardzo nisko nad zagrodami wiejskimi i ostrzeliwały ludność cywilną i żołnierzy polskich.

W dniu rozpoczęcia walk, około godziny jedenastej, zobaczyłem na niebie samolot niemiecki, który ciągnął za sobą smugę ciemnego dymu. Leciał w kierunku stawów rybnych rozciągających się w pobliżu Kopisk. Należało przypuszczać, że chciał wylądować w stawie z wodą, jednak uderzył w groblę i eksplodował. Siła uderzenia była bardzo duża i spowodowała wyrwę w grobli, przez którą woda z rybami wypłynęła do rzeki. Zginęła cała załoga samolotu – mówiono, że pięciu żołnierzy niemieckich. Razem z grupą starszych kolegów pobiegliśmy w tamtą stronę. Jednak w połowie drogi zobaczyliśmy w oddali jadące czołgi od strony Jaktorowa, zmierzające w kierunku stawów. Widząc nadchodzące niebezpieczeństwo wycofaliśmy się korytem rzeki do domów.

W czasie całego dnia co chwilę wybuchały pożary we wsiach Budach Zosinych i Holendrach Baranowskich w sąsiedztwie naszej wioski.. Niemcy palili zabudowania chłopskie niszcząc wszystko na drodze przemarszu. Ginęli powstańcy i ludność cywilna. Niemcy też ponieśli ogromne straty w ludziach i sprzęcie. Wojska węgierskie nie brały udziału w walkach, lecz kontrolowały tereny przyległe do drogi prowadzącej z Baranowa do Jaktorowa. Żołnierze polscy uciekający z pola walki w stronę Grodziska Mazowieckiego i wsi Izdebną Kościelnego byli rozbrajani i zatrzymywani przez wojska węgierskie. Zatrzymali oni około 60 powstańców. Wielu z nich było rannych – tych opatrzyli i udzielili im pomocy. Wszystkich przetrzymywali w prowizorycznym obozie na terenie Kopisk. W godzinach popołudniowych do obozu jeńców polskich przyjechali dwoma czołgami Niemcy. Według informacji, która błyskawicznie rozeszła się po wsi, hitlerowcy zażądali wydania jeńców polskich. Mieszkańców Kopisk bardzo zasmuciła ta informacja, bo wiadomo było, że gdyby zostali wydani czekałaby ich pewna śmierć, zostaliby rozstrzelani. Wszyscy czekaliśmy w napięciu. Niemcy przeszukali stojące w pobliżu kopy słomy i siana, kłuli bagnietami głęboko do środka. W czasie ich obecności w obozie węgierskim panowało ostre pogotowie. Węgrzy obsadzili punkty obronne i przygotowywali się do walki. Wyprowadzali konie, zakładali im siodła, na pozycjach ustawiali karabiny maszynowe. Ludność cywilna gromadziła cenne rzeczy z dala od zabudowań. Krążące samoloty niemieckie ostrzeliwały z karabinów maszynowych ludzi na otwartych przestrzeniach łąk lub pól.

Rodzice prawie cały dobytek zgromadzili w murowanej piwnicy. Dzieci ubrane w zimowe ubrania też ulokowali w piwnicy. Nie wolno nam było wychodzić stamtąd. Obserwowaliśmy co się dzieje na zewnątrz przez otwarte drzwi. W miarę upływu czasu samoloty niemieckie zaczynały latać coraz niżej, prawie nad wierzchołkami drzew. W kabinach widać było ponure i zawzięte twarze pilotów polujących na każdy ruchomy obiekt, który natychmiast był ostrzeliwany z karabinów maszynowych. Chcieli zabić jak najwięcej ludzi.

Zbliżał się wieczór – nadzieja ocalenia. Jednak wciąż wybuchały nowe pożary, widać było dopalające się domostwa. Zapowiadany ponowny przyjazd Niemców po jeńców nie nastąpił. Węgrzy zwolnili Polaków w grupach 3-4-osobowych, zwracając uprzednio zabraną broń. Sami tej nocy postanowili zmienić miejsce pobytu. Zaapelowali do gospodarzy posiadających konie i wozy o pomoc w ewakuacji. Wzruszające były chwile pożegnania – łzy, pocałunki, podziękowania z obu stron. Rannych partyzantów przewieziono do Grodziska Mazowieckiego, gdzie znaleźli schronienie i opiekę lekarską. Ojciec brał udział w przemieszczaniu się oddziału. Rano wrócił szczęśliwie do domu. Niemcy kilkakrotnie następnego dnia przyjeżdżali do wsi Kopiska. Młodzi mieszkańcy po wyjeździe wojska węgierskiego uciekli w nocy z wioski.

\* \* \*

Pamiętam, był to 1944 rok, dzień jesienny, targowy – prawdopodobnie środa. Rodzice wyjechali do miasta na targ. Ja z rodzeństwem pozostałem w domu do pilnowania gospodarstwa. Do wsi w tym dniu przyjechali Ukraińcy, którzy służyli w armii niemieckiej. Przeszukali wszystkie stodoły. Szukali siana i zboża dla koni oraz grabili cenne rzeczy. Nie pytając o zgodę otworzyli naszą stodołę i zabrali na swoje wozy siano zgromadzone na paszę dla krów i konia. Na zimę Ojciec schował zboże przed różnymi złodziejami w sąsiedku pod sianem. Ukraińcy na szczęście nie odkryli schowka i zboże ocalało. Nie zdołali zabrać wszystkiego siana na swoje wozy, więc resztę rozrzucili na podwórku w błoto. Zdarzały się przypadki podpalania zagrod po obrabowaniu. Intruzi mścili się w ten sposób na gospodarzach broniących swojego dobytku.

Rodzice, którzy wieczorem przyjechali z miasta, zastali spustoszenie w stodole. Ukraińcy nie pozostawili żadnego pokwitowania na zrabowany dobytek. W podobnej sytuacji znalazło się wiele gospodarstw chłopskich. W czasie najazdu Ukraińców młode dziewczyny i mężatki chowały się w różnych kryjówkach w obawie przed gwałtem. Każdy dzień mógł przynieść bardzo przykre niespodzianki. Grabież chłopskiego dobytku była normalnością w tych czasach. Nikt nie oczekiwał sprawiedliwości, ale wiedzieliśmy, że każdy dzień przybliża nas do wolności. Dlatego zaciskaliśmy zęby ze złości, bezsilności. Liczyliśmy, że będziemy żyć w Polsce sprawiedliwej, która będzie ojczyzną dla wszystkich Polaków i innych narodów, które będą szanować nasz kraj i prawa w nim obowiązujące.

\* \* \*

W czasie mojej nauki w szkole podstawowej Rodzice zastanawiali się, co będę robił w przyszłości. Decyzja nie była łatwa, bo i czasy nie były dobre. Trudno było przewidzieć, co może wydarzyć się jutro. Wojna, terror niemiecki, częste łapanie organizowane przez okupanta, wywożenie młodzieży do Niemiec na przymusowe roboty, a nawet do obozów zagłady. Wójt – Niemiec sporządzał listy osób, które podlegały wysłaniu na roboty. Na wsi było ciężko żyć, w mieście nie było łatwiej. Kuzyni mieszkający w mieście oczekiwali od nas pomocy, którą w miarę naszych możliwości otrzymywali.

\* \* \*

Powstanie Warszawskie utkwilo mi głęboko w pamięci. W ciągu dnia widać było z naszego podwórka unoszące się kłęby dymu z palących się domów. W nocy natomiast luno pożarów. Wiało trwogą i rozpaczą. Ci, którym udało się wydostać z płonącej Warszawy opowiadali o barbarzyństwie Niemców i Ukraińców. Mówili o mordowaniu niewinnych ludzi – młodych, dzieci i starców.

Powstanie Warszawskie zostało barbarzyńsko zlikwidowane. Pojawili się pierwsi ludzie wypędzeni z własnych domów. Znaleźli oni gościnę u gospodarzy w naszej wiosce. Wydaje mi się, że takich wiosek w Polsce było bardzo dużo. Z nowymi przybyszami dzielono się wszystkim, chociaż nie było łatwo utrzymać własną rodzinę. Bieda zaglądała do prawie każdego domu. Zapewniano im dach nad głową i wyżywienie. Do nas przyjęliśmy rodzinę składającą się z pięciu osób. Było to młode małżeństwo z dwójką dzieci i starsza kobieta. Dzielono się wszystkim, co było w domu. Do podziału nie było zbyt dużo. Chodziliśmy głodni, żyliśmy nadzieją, że jutro będzie lepsze. Radość napawała nas otuchą, bo słyszeliśmy już kanonadę dział przybliżającego się frontu. Przed nacierającymi wojskami radzieckimi Niemcy wysiedlali całe wioski i wywozili ludność w głąb Rzeszy. Byliśmy przygotowani na to, że zły los nie oszczędzi i nas. Jednak nie zdążyli nas wysiedlić. W styczniu odzyskaliśmy wolność, którą przynieśli nam żołnierze radzieccy i polscy. W kwietniu 1945 roku goście z Warszawy wyprowadzili się od nas do Żyrardowa, gdzie otrzymali mieszkanie i pracę. Nie pamiętam czy nas kiedyś odwiedzili, chyba nie, po prostu byliśmy im już niepotrzebni. Przykro nam było, że nie zawsze za dobro i pomoc w trudnych czasach odplaca się sercem.

\* \* \*

Dzień wyzwolenia – 17 stycznia 1945 roku – poprzedziła ogłuszająca kanonada z dział armatnich. Trzęsła się ziemia, dzwoniły szyby w oknach. Lekcje w szkole odbywały się normalnie. Nikt nie przewidywał wyzwolenia w tym dniu. Niemcy uciekali w popłochu gminnym traktem. Uciekali samochodami, motorami, a nawet na koniach bez siodła. Prawdopodobnie ukradli je gospodarzom. Zmierzali w kierunku szosy Warszawa - Poznań. W nocy tego dnia wojska rosyjskie nacierały od strony Grodziska Mazowieckiego. W pobliżu Kopisk trwały walki, słychać było strzały z karabinów maszynowych, dział i innej broni.

Niemcy rozproszyli się na małe grupy. Około północy zapukali do naszego domu. Rodzice wahali się, czy otworzyć. W miarę upływu czasu nieproszeni goście zaczęli coraz gwałtowniej dobijać się do drzwi, krzycząc coś po niemiecku. Nie było rady – trzeba było otworzyć. Weszli do mieszkania. Było ich czterech, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Tej nocy nikt w domu nie spał, byliśmy przygotowani na



najgorsze. W pobliżu naszej wioski trwały walki. Niemcy rozłożyli mapę na stole, oświetlili ją latarką i zażądali od Ojca, aby wskazał im miejsce, gdzie się znajdowali i drogę w kierunku Poznania. Po uzyskaniu informacji w pośpiechu opuścili nasz dom. Wydaje mi się, że nie wymknęli się z okrażenia. Następnego dnia droga do Poznania była już opanowana przez radzieckie jednostki pancerne. Z nastaniem dnia w pobliżu wsi Kopiska na polach i łąkach widać było spalone czołgi radzieckie, wielu zabitych żołnierzy niemieckich, porozbijany sprzęt wojskowy, zabite konie. Na miejscu byli już mieszkańcy wioski, każdy szukał czegoś dla siebie. Niektórzy ćwiartowali zabite konie i zabierali mięso do domów. Terenu strzegli żołnierze radzieccy, którzy za wódkę wszystko sprzedawali, nawet broń. Ja wraz z innymi dziećmi zbierałem broń i proch, który wieczorem zapalaliśmy i wyrzucaliśmy w górę, co dawało wspaniały efekt. Znalazłem też karabin bez zamka i kolby. Wydawało mi się, że nadawał się do strzelania. Następnego dnia przed zachodem słońca zebrała się dość duża grupa dzieciaków, aby sobie postrzelać, jednak żaden z nich nie miał odwagi. Ja chciałem zaimponować wszystkim i pokazać jak się strzela. Przywiązałem karabin do balustrady mostu i włożyłem pocisk do lufy. Wziąłem kamień do ręki, w drugiej trzymałem wycior, który ustawiłem na spłonce pocisku. Następnie uderzyłem kamieniem w wycior. Nastąpił wybuch. Wcześniej wydawało mi się, że pocisk przeleci przez lufę karabinu i pozostanie łuska. Stało się jednak inaczej. Łuska została rozerwana na strzępy. Ręka, w której trzymałem wycior została pokaleczona odłamkami metalu i prochem.

Po zejściu szybko wróciłem do domu. Ręka mnie bardzo bolała i mocno krwawiła. Szybko chciałem się położyć do łóżka, aby Rodzice nic nie zauważyli. Nie mogłem zasnąć. Szmata, którą okręciłem rękę zaczęła przemakać krwią. Nie upłynęło wiele czasu, gdy usłyszałem Mamę. Weszła z lampą naftową do pokoju, postawiła ją na stole i podeszła do łóżka. Zażądała, abym pokazał rękę. Przeraziła się gdy zobaczyła moją ranę. Natychmiast oczyściła ją z odłamków metalu i prochu, wysmarowała gencjaną i założyła opatrunek. Podczas twej operacji odczuwałem silny ból, płakałem. O moim wypadku Mama dowiedziała się od dzieci, które przyglądały się zdarzeniu. Cierpiałem bardzo, ból ręki był okropny, nie narzekałem jednak, bo bałem się lania i rozmowy z Ojcem. Następnego dnia miałem wysoka temperaturę. Ręka stopniowo zaczęła się goić. Doczekałem się też rozmowy z Ojcem. Zagroził mi, że jeżeli się to jeszcze raz powtórzy lub znajdzie u mnie pociski albo broń, to złoży mnie porządnie.

Po kilku dniach do naszego domu przyszli żołnierze radzieccy. Przyjęto ich zyczliwie. Mama przygotowała kolację. Z tej okazji zabiła kurę i zrobiła zakąskę. Wódki w domu było dużo, otrzymywaliśmy ją od Niemców za obowiązkowe dostawy i prace przy kopaniu okopów. W naszym domu nie pito alkoholu, tylko czasami podczas różnych przyjęć gościnnych. Ojciec napełnił kieliszki. Rosjanie poprosili o szklanki. Szybko ze stołu zniknęły opróżnione butelki. Przygotowane jedzenie jedli rękoma, nie korzystając z talerzy i sztućców. W czasie pierwszych godzin pobytu w naszym domu rozmawiali normalnie. Opowiadali o swoich rodzinach, dobrobycie, jaki panował w ich ojczyźnie. Jednak na wiele pytań nie chcieli odpowiadać. Podziwiali, że u nas jest tak wspaniale. My natomiast myśleliśmy, że gorzej być już nie powinno. W miarę upływu czasu i wypitej wódki rozmawiali coraz głośniejszymi głosami, wzajemnie się przekrzykując. Używali też ordynarnych słów. Nie zwracali uwagi, że razem z nimi były małe dzieci. W tej sytuacji Rodzice kazali nam pójść do dziadków i tam doczekaliśmy końca kolacji. Uczta trwała zbyt długo i nie wiadomo jak by się skończyła, gdyby nie przyszedł ich przełożony i nie kazał im wracać na miejsce zbiórki. Sam też bez zakąszania wypił dwie szklanki wódki i poszedł razem z nimi zapowiadając, że jeszcze nas odwiedzą. Odchodząc urządzili na podwórku kanonadę, opróżniając kilka magazynków amunicji. Pamiętam też, że odwiedzili nas jeszcze inni Rosjanie, lecz okoliczności były smutniejsze. Nie gardzili niczym, przywłaszczyli sobie wiele rzeczy. W czasie odwiedzin wszystkie młode mężatki i panny chowały się po różnych kryjówkach. Zdarzały się przypadki gwałtów.

\* \* \*

W trzeciej dekadzie stycznia 1945 roku przyjechali do naszego domu żołnierze polscy. Byli ubrani w długie szynele, zielone mundury, czapki rogatywki. Każdy posiadał pistolet maszynowy zwany „pepeszką”. Byli podziwiani i uwielbiani przez naszą rodzinę. We wsi każdy dom witał żołnierzy polskich serdecznie, a tych, którzy zatrzymali się na krótki odpoczynek przyjmowano według chrześcijańskiego zwyczaju – czym chata bogata, tym rada. Ze wzruszeniem i łzami w oczach radowano się i cieszący się z obecności żołnierzy polskich, którzy razem z radziecką armią przynieśli nam wolność. Wtedy nie mieliśmy pojęcia, jaka ona będzie. Po wielu latach barbarzyńskiej niewoli zobaczyliśmy żołnierzy polskich. Na czapkach mieli wprawdzie orzełki nie takie, jakie nosili przed wojną, ale polskie.

Po kilkuletnim okresie upokorzenia, głodu, strachu, niepewności jutra, wyrzeczeń, poświęceń i walki o przetrwanie, skończyły się okrutne czasy. Potem była ciężka i wytrwała praca i nauka. Naukę godziłem z pracą zawodową przez bardzo wiele lat. Ukończyłem wyższe studia techniczne – dwa różne fakultety oraz uzyskałem stopień doktora nauk ekonomicznych.